WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 151 20 GRUDNIA 1977 R CENA 1,50 ZŁ

POJEDYNEK ADMIRAŁÓW PODWODNEJ FLOTY – str. 5

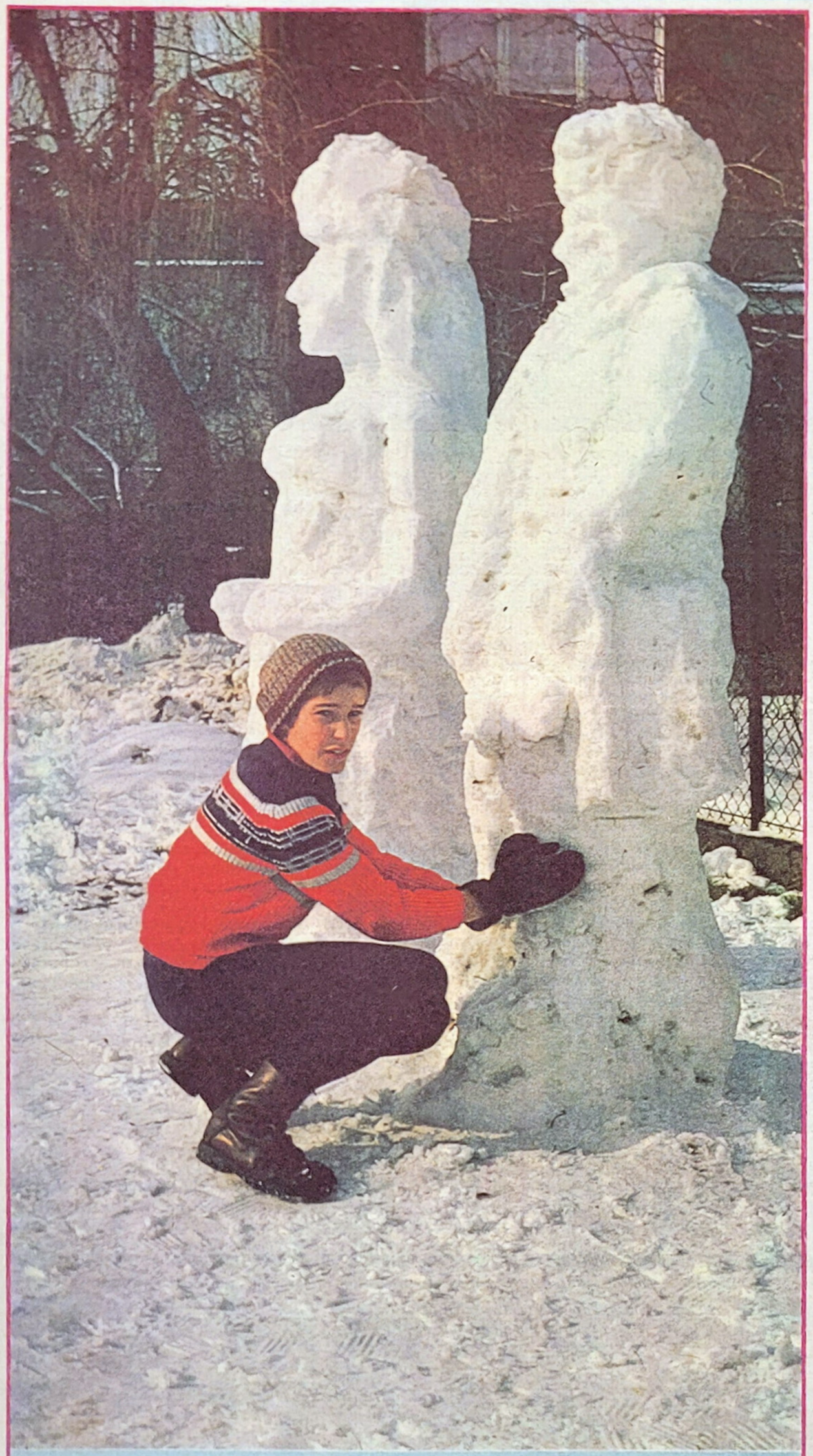

RZEŹBY ZE ŚNIEGU

Ulepić zwykłego bałwana – to żadna sztuka. Trudniej śniegowej bryle nadać bardziej wyszukany kształt. Na przykład Japończycy i w tym doszli do perfekcji, toteż ich arcydzieła ze śniegu co roku oglądamy w telewizji.

A może i Wy wykorzystacie ten zimowy „surowiec" do tworzenia śniegowych rzeźb?

Fot. **K. Adamowski**

KRZYŻ WIELKI ORDERU ODRODZENIA POLSKI

dla Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa

8 grudnia br. przewodniczący Rady Państwa PRL, prof. **Henryk Jabłoński** odznaczył Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Wysokie to odznaczenie zostało przyznane Radzie na wniosek Biura Politycznego KC PZPR za ogromne zasługi w upamiętnieniu miejsc pamięci narodowej i w pielęgnowaniu tradycji naszych walk o wyzwolenie narodowe i społeczne. Przekazując order przewodniczącemu Rady, min. **Janiszowi Wieczorkowi**, w obecności wszystkich jej członków prof. Jabłoński podkreślił, jak wielkie znaczenie dla świadomości socjalistycznej narodu ma wiedza historyczna i uczuciowy stosunek do tradycji.

DWA PRACOWITE DNI

MIŁORADZ (HSI). Przyboczni i zastępowi ze szczepu działającego przy Szkole Podstawowej w Miłoradzu uczestniczyli niedawno w dwudniowym szkoleniu pod hasłem „Kurs Małej Kadry". Miało ono miejsce w Domu Harcerza w Gdańsku. Podczas zajęć harcerze zdobyli wiele nowych informacji dotyczących prowadzenia zastępów i drużyn. Zwiedzili także Westerplatte, gdańską Starówkę, a wieczorem obejrzeli sztukę w Teatrze Wybrzeże. Pożyteczne były te dwa pracowite dni.

Małgorzata Głąb

PGR BOGATY WUJEK

GORZÓW (PAP). Niejedno duże miasto może pozazdrościć okazałego domu kultury, jaki Międzyrzecki Kombinat PGR oddał swoim pracownikom i mieszkańcom Przytocznej w woj. gorzowskim. Ośrodek ten posiada okazałą salę widowiskową ze sceną, na której może wystąpić teatr, duży zespół pieśni i tańca czy operetka. Jest też kawiarnia, sale gier, pokoje do zajęć sekcji specjalistycznych, pokoje gościnne. Gospodarze zaproponowali, aby Przytoczna stała się miejscem dorocznych przeglądów zespołów amatorskich PGR z całego kraju. **(tem)**

TELETECHNIKA dla wszystkich

SZCZECIN (HSI). W Zespole Szkół Łączności im. kpr. Michała Okurzałego w Szczecinie zorganizowano wystawę teletechniczną. Uczniowie szkół podstawowych mogli się sporo dowiedzieć o zawodzie łącznościowca. Na wystawie zaprezentowano najnowocześniejsze urządzenia stosowane w telekomunikacji. Były tam najnowsze aparaty telefoniczne, centrale i urządzenia telewizji przemysłowej. Na wystawie przedstawiono również uczniowskie prace dyplomowe i maturalne z tej dziedziny techniki. **(ap)**

Kobiece rekordy „Iła 62"

ZSRR (PAP). W ciągu kilku tygodni aż 5 światowych rekordów lotniczych uzyskała kobieca załoga „Aerofłotu" na seryjnym samolocie „Ił 62 M". Podczas lotu w tzw. trójkącie osiągnięto prędkość ok. 1100 km/godz. Pod koniec października br. pilotki uzyskały światowy rekord długości przelotu w swojej kategorii – 10.074 km na trasie Sofia–Wierchojańsk–Władywostok. Część trasy przebiegała nad Oceanem Lodowatym i Morzem Ochockim. Przeciętna prędkość lotu, który odbywał się na pułapie 11–12 km, wynosiła tym razem ok. 776 km/godz. Warto dodać, że dowódca załogi – Iraida Wiertiprachowa jest posiadaczką światowego rekordu w skoku z opóźnionym otwarciem spadochronu z wysokości 10 tys. metrów.

(jd)

TEN TUROŃ już odpoczywa

(CAF). W Nowym Targu czynna jest Izba Regionalna, w której zgromadzono przedmioty związane z kulturą Podhala, Spisza i Orawy. Wszystkie eksponaty, jakie znajdują się w izbie, zostały zebrane przez nauczyciela, Kazimierza Webera i wychowanków Specjalnego Zakładu Wychowawczego. Turoń, którego widzimy na zdjęciu, dobrze się na pewno przed laty „nakolędował" zanim stał się po prostu jednym z eksponatów! **(ag)**

Fot. **CAF**

Warto o tym wiedzieć

WĘGIEL WRACA DO ŁASK

Nie tak dawno jeszcze uważano, że węgiel jako surowiec energetyczny odchodzi do lamusa, jego pozycję miała zająć ropa naftowa. I tak się w wielu krajach stało, m. in. w Stanach Zjednoczonych. Tymczasem trwający od 1974 r. kryzys energetyczny zmusił ekspertów i rządy do przeproszenia się z węglem. Taki zwrot następuje właśnie w USA, kraju który zużywa największe ilości energii. Minister d/s energetyki USA, James Schlesinger, przemawiając ostatnio w Nowym Jorku na spotkaniu z przedstawicielami wielkiego biznesu, oświadczył, że jeśli Ameryka nie wprowadzi od zaraz racjonalnej i planowej gospodarki energetycznej, dalszy rozwój kraju zostanie zagrożony. Zdaniem ministra szczególnie ważnym i pierwszoplanowym zadaniem jest uznanie węgla za główny i podstawowy surowiec energetyczny. Uważa się bowiem, że zapasy węgla, jakimi dysponuje Ameryka wystarczą na setki lat, szczególnie jeśli będą racjonalnie eksploatowane i rozwinięty zostanie przemysł przetwarzania węgla. Natomiast zapasy ropy, tak w USA jak i na całym świecie, są o wiele mniejsze. Ceny tego surowca będą stale wzrastać, a produkcja począwszy od lat dziewięćdziesiątych zacznie się zmniejszać.

Energetyczny program Cartera, w którym tak wielką rolę odgrywa węgiel, jako podstawowy surowiec energetyczny, otworzył przed przemysłem węglowym Stanów Zjednoczonych perspektywy dynamicznego rozwoju.

Nowo utworzone ministerstwo energetyki opracowało już wstępne i ramowe plany rozwoju przemysłu węglowego i racjonalnego wykorzystania węgla. Otóż zakłada się, że do 1985 r. wydobycie węgla w Stanach Zjednoczonych wzrośnie z 663 mln ton do ponad miliarda ton rocznie. W programie znajduje się wybudowanie do 1986 r. około 260 elektrowni spalających węgiel. Obecnie elektrownie USA spalają rocznie 448 mln ton węgla, a w ciągu najbliższych 10 lat liczba ta wzrośnie do 779 mln rocznie.

Opracowuje się program przeróbki węgla, gazyfikacji, rafinacji i innych procesów chemicznych tego surowca. Już w przyszłym roku kosztem 370 mln dol. uruchamia się największą w USA fabrykę gazyfikacji węgla.

Cały ten program jest świadectwem nowych kierunków rozwoju amerykańskiej gospodarki. I nie tylko. Inne kraje wysoko rozwinięte również spoglądają na węgiel łaskawszym wzrokiem. Polska jest w tej dobrej sytuacji, że nigdy nie zrezygnowała z węgla i dziś nie musi dokonywać zwrotu w swej polityce energetycznej. (b)

W DOMU NAD EAST RIVER

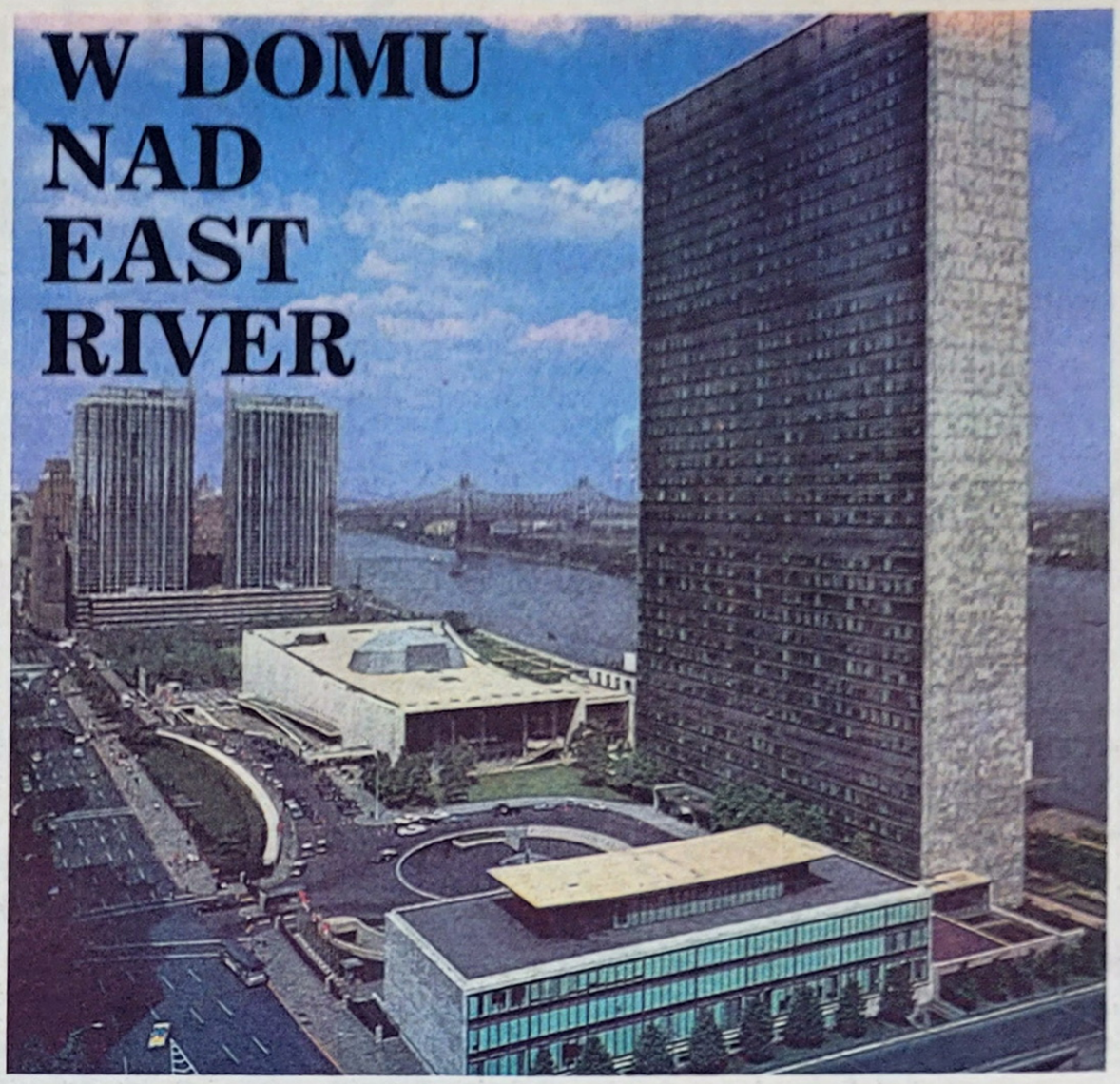

Dom to niezwykły, wystrzela w niebo może niezbyt wysoko, jak na tę dzielnicę Nowego Jorku – Manhattan, ale jego smukła sylwetka należy do najelegantszych, najpiękniej usytuowanych nad brzegiem Wschodniej Rzeki – East River. Wyszedł zresztą spod ręki słynnych architektów, Le Corbusiera, O. Niemeyera i H. Robertsona. Niezwykłość tego domu polega zresztą nie na jego wyglądzie, jest to dom niemal wszystkich mieszkańców Ziemi, tu bowiem mieści się siedziba Narodów Zjednoczonych. W drapaczu nad East River odbijają się jak w gigantycznym lustrze wszystkie kłopoty i troski, waśnie i nadzieje współczesnego świata. Największy parlament Ziemi – tak go nazywają. I rzecz niezwykła – upadają rządy, zmieniają się parlamenty w poszczególnych państwach tylko parlament Narodów Zjednoczonych trwa niezmiennie od 32 lat, a jego popularność i znaczenie rośnie z każdym rokiem. W roku 1945 państw założycielskich ONZ było tylko 51 (wśród nich była także Polska) dziś rodzina oenzetowska liczy już 149 członków. Poza tą organizacją pozostaje zaledwie kilka państw.

Każdego roku jesienią odbywają się obrady Zgromadzenia Ogólnego NZ. W tym roku na XXXII sesji na porządku dziennym znalazło się aż 128 punktów. Nie sposób, oczywiście, przedstawić choćby w zarysie wszystkie istotne sprawy, którymi zajmowało się Zgromadzenie Ogólne, a także odpowiednie komisje ONZ. Sesja zaczęła się od wybrania jej przewodniczącego. W tym roku został nim minister spraw zagranicznych i były ambasador Jugosławii przy ONZ, Lazar Mojsov, człowiek doświadczony i powszechnie ceniony dyplomata, mający przydomek „sprawiedliwy". Swoje „urzędowanie" Mojsov zaczął od miłego obowiązku przyjęcia do grona Narodów Zjednoczonych dwóch nowych państw – Socjalistycznej Republiki Wietnamu i Republiki Dżibuti. Wniosek o przyjęcie Wietnamu do ONZ był trzykrotnie blokowany na skutek weta zgłaszanego w Radzie Bezpieczeństwa przez poprzednią administrację amerykańską. Z tego właśnie powodu, moment przyjmowania Wietnamu był niezwykle wzruszający i miał coś z symbolu. Aż 105 delegatów wystąpiło w roli poręczycieli, co stanowi niespotykany w dziejach ONZ rekord.

Nie zawsze jednak w rodzinie oenzetowskiej panuje taka idealna zgodność poglądów. Są problemy drażliwe i trudne, których rozwiązanie napotyka na ogromne przeszkody. Ot, choćby sprawa Bliskiego Wschodu, od lat najbardziej zapalnego punktu na świecie. Wydawałoby się, że nic trudnego, jak zmusić Izrael do oddania zagarniętych w 1967 roku arabskich ziem, podpisać traktat pokojowy między zainteresowanymi stronami, ustanowić międzynarodową gwarancję tego pokoju i sprawę mamy „z głowy". Łatwo napisać, trudniej wykonać. Trudniej, ponieważ na Bliskim Wschodzie krzyżują się interesy wielu państw, położonych zresztą daleko od tego regionu. Nie ma co ukrywać, że Stany Zjednoczone są właśnie tym największym państwem, które popierając Izrael materialnie i militarnie uniemożliwia rozwiązanie konfliktu.

Jeszcze kilka tygodni temu, gdy ZSRR i USA ogłosiły wspólne oświadczenie w sprawie Bliskiego Wschodu, wydawało się, że problem jest bliski rozwiązania, że nareszcie dojdzie do konferencji pokojowej z udziałem zainteresowanych stron. Obecnie jednak wszystko pogmatwało się na nowo. Sprawcą zamieszania stał się Egipt, który wyłamał się ze wspólnego frontu arabskiego i sam na własną rękę rozpoczął rozmowy z Izraelem. Ale czy rzeczywiście prezydent Sadat sam to wszystko wymyślił? I „co" właściwie, lub „kto" stoi za tym posunięciem? Nie bawiąc się we wróżkę, jedno można powiedzieć z całą pewnością, rozwiązanie konfliktu oddaliło się, więcej, powstała sytuacja, która może grozić nową wojną w tym rejonie.

W tym samym czasie Zgromadzenie Ogólne NZ w zdecydowanej swojej większości i wbrew niektórym delegacjom uchwaliło rezolucję potępiającą Izrael za bezprawne okupowanie ziem arabskich i wznoszeniu tam żydowskich osiedli. Pocieszające jest to, że większość wykazała zdrowy rozsądek, że nadal podtrzymane zostało prawo Palestyńczyków do swojej ojczyzny.

Nie tylko Bliski Wschód absorbował parlament Narodów Zjednoczonych. Zajmowano się także konfliktem w Ogadenie między Etiopią i Somalią, a także Cyprem. Cypr chociaż jest niewielką wyspą, od lat, podobnie jak Bliski Wschód, stanowi punkt zapalny. Dwie społeczności zamieszkujące wyspę – turecka i grecka – nie mogą dojść do porozumienia w sprawie utworzenia wspólnego rządu. Niewątpliwie dzieje się tak dlatego, że do konfliktu wtrącają swoje przysłowiowe „trzy grosze" opiekunowie – Turcja i Grecja. W rezultacie wyspiarskie zatargi rozszerzyły się na obydwa państwa.

Trzecim kompleksem spraw, które rozpatrywane były na XXXII sesji, to problemy południa kontynentu afrykańskiego, a w szczególności problem Rodezji, RPA i Namibii. O tych sprawach pisaliśmy w tym roku szczegółowo w „ŚM". I nic się od tego czasu nie zmieniło. Nadal trwa bezprawne okupowanie przez RPA Namibii, wbrew uchwalonym rezolucjom, nadal premier Rodezji, Smith, działa na zwłokę w przekazaniu władzy ludności murzyńskiej, a premier Vorster z RPA udaje, że nic go nie obchodzi opinia świata o nieludzkich rządach w jego rasistowskim państwie. Spokój tych panów jest jednak pozorny. Uchwalone niedawno przez Radę Bezpieczeństwa embargo na dostawy broni do RPA jest pierwszym ciosem, ale nie ostatnim. Należy się spodziewać, że w najbliższych latach będziemy świadkami gruntownych przeobrażeń w tej części czarnego lądu. Rasizm i apartheid muszą zniknąć z powierzchni ziemi. Taka jest wola zdecydowanej większości Narodów Zjednoczonych.

Oprócz konfliktów regionalnych XXXII sesja zajmowała się również sprawami gospodarczymi o światowym znaczeniu. Chodzi o ustanowienie nowego ładu ekonomicznego, który byłby do przyjęcia przez wszystkie państwa, i bogate, i biedne. Problem niezwykle trudny, krzyżują się tu bowiem przeciwstawne interesy. Nad wypracowaniem wspólnego programu reformy gospodarki światowej pracuje obecnie wyspecjalizowana agencja ONZ, zwana UNCTAD. Do szczegółów tej reformy wrócimy w oddzielnym artykule.

Kilka tygodni temu Komitet Polityczny przystąpił do głosowania nad projektami rezolucji rozbrojeniowych. Pierwszymi dwiema rezolucjami przyjętymi przez komitet są projekty zainicjowane przez delegację polską. Pierwszy dotyczy zapoczątkowania rozmów zmierzających do zapobieżenia wyścigowi zbrojeń na dnie mórz i oceanów, drugi – zakazu rozwijania produkcji i gromadzenia broni chemicznej. Tym samym Polska znów zaznaczyła swój wkład w główny nurt prac ONZ. Z inicjatyw rozbrojeniowych jesteśmy znani nie od dziś, niektórzy nazywają je „polską specjalnością". Nie ma w tym określeniu przesady ani złośliwości, dobrze jest bowiem znane nasze tragiczne doświadczenie z okresu II wojny światowej, mamy więc największe moralne prawo do walki o pokój wszelkimi możliwymi sposobami.

Inicjatywy polskie spotkały się z dużym zainteresowaniem i aprobatą. Już na wstępie zyskała ona poparcie kilkunastu krajów, które wraz z Polską wystąpiły w roli współautorów tego dokumentu. Wśród nich znalazły się także takie państwa jak ZSRR, USA i W. Brytania. Rokuje to nadzieję, że wkrótce rezolucje te przybiorą postać obowiązującego układu międzynarodowego.

Przedstawiciele Polski biorą ponadto bardzo czynny udział w przygotowaniu specjalnej sesji rozbrojeniowej Zgromadzenia Ogólnego NZ, która ma się odbyć latem przyszłego roku. Z sesją tą cały postępowy świat wiąże wielkie nadzieje. Nasz kraj opowiada się ponadto, aby była ona etapem przejściowym do Światowej Konferencji Rozbrojeniowej, której zwołanie zaproponował rząd ZSRR już kilka lat temu.

Dom Narodów Zjednoczonych nad East River pustoszeje. Delegacje 149 państw opuszczają Nowy Jork. Zakończył się bowiem kolejny etap działalności tego największego parlamentu świata. Największego i najbardziej uniwersalnego forum, na którym nie ma takich spraw, które nie mogłyby być rozpatrywane z pożytkiem dla wszystkich.

STANISŁAW BOROWIECKI

Fot. archiwum

Co dalej?

W Portugalii doszło do nowej próby sił. Socjalistycznemu rządowi Mario Soaresa odmówiła zaufania 8 grudnia zarówno Komunistyczna Partia Portugalii, jak i dwie partie prawicowe: Partia Socjaldemokratyczna – raczej tylko z nazwy i Centrum Demokratyczno-Społeczne, skupiające siły konserwatywne, w tym również zwolenników obalonego faszystowskiego reżimu. Przeciwko wnioskowi o wotum zaufania dla rządu wypowiedziało się 159 posłów do Zgromadzenia Republiki, za – tylko 100. Kiedy Soares formował swój rząd po wyborach, dysponował w parlamencie 107 głosami socjalistów. Stracił więc i wśród swoich partyjnych kolegów.

Żeby zrozumieć przyczyny tego wydarzenia, wrócić trzeba do historii. „Rewolucja czerwonych goździków" była dziełem wojskowych, którzy zaprotestowali w ten sposób przeciwko bezsensownym i beznadziejnym wojnom kolonialnym w Afryce, doprowadzającym kraj do ruiny. Czerwone goździki zatknięte w lufy karabinów, które odmówiły posłusznego wykonywania rozkazów faszystowskiego rządu, stały się symbolem oczekiwań narodu Portugalii. Armia, która dokonała przewrotu, zgodna była, że należy obalić faszyzm i zakończyć wojny kolonialne. Jej generałowie, oficerowie i szeregowi żołnierze nie mieli natomiast wspólnego zdania na temat: co dalej?

Po dwóch latach tymczasowych rządów, po kilku próbach sił i związanych z nimi kryzysach politycznych – wojskowi dotrzymali słowa i przekazali władzę cywilom. Zapewnili Portugalii wcześniej przy konsekwentnym poparciu komunistów i mas robotniczych najbardziej postępową konstytucję ze wszystkich karjów zachodnioeuropejskich; przeprowadzili reformę rolną, znacjonalizowali banki i podstawowe gałęzie przemysłu. W wyborach, które miały zdecydować o składzie rządu, sukces odniosły siły lewicowe. Największą liczbę głosów, a co za tym idzie mandatów w parlamencie, zdobyła Partia Socjalistyczna Mario Soaresa. Socjaliści łącznie z komunistami mieli możliwość stworzenia rządu lewicowego opartego na większości parlamentarnej. Była to jednocześnie możliwość jednoznacznego rozstrzygnięcia, co dalej.

Soares nie skorzystał z tej szansy. Kierując się antykomunistyczną obsesją stworzył mniejszościowy rząd socjalistyczny. Na koalicję z prawicą nie mógł sobie pozwolić, bo spowodowałoby to oburzenie wśród znacznej części jego wyborców. Wybrał politykę lawirowania. Jeśli w przedstawianych parlamentowi projektach ustaw bronił interesów pracujących, uzyskiwał poparcie komunistów, jeśli działał w interesie klas posiadających popierała go prawica. Bilans tego balansowania okazał się w sumie smutny. 200 tys. ha ziemi odebrano robotnikom rolnym i zwrócono obszarnikom, do rąk fabrykantów wróciło ponad 400 mniejszych, średnich i wielkich zakładów przemysłowych. Sytuacja gospodarcza Portugalii nie uległa poprawie.

W związku z tym zwrócił się o pomoc w wysokości 750 mln dolarów do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Państwa zachodnie mające udzielić tej pożyczki postawiły jednak twarde warunki obarczenia jej kosztami mas pracujących. Soares zażądał poparcia dla tego programu ze strony partii nie wchodzących w skład rządu. Komuniści nie mogli poprzeć takich rozwiązań, prawica nie chciała uczynić tego bezinteresownie – żądała w zamian tek ministerialnych. Rząd Soaresa upadł. Znowu ostro stanął problem: co dalej?

Prezydent Portugalii, gen. Antonio Ramalho Eanes ma kilka możliwości powołania nowego rządu. Sam Soares wymienia trzy: rząd socjalistów z udziałem prawicy i bezpartyjnych specjalistów, rząd socjalistów z udziałem bezpartyjnych specjalistów lub rząd złożony wyłącznie z bezpartyjnych specjalistów. Istnieje jeszcze czwarta – rozpisanie nowych wyborów, choć wątpliwe jest, by którakolwiek z czterech partii zdobyła większość w parlamencie. Każde jednak z tych rozwiązań nie rozstrzyga portugalskim robotnikom i chłopom problemu: co dalej?

JERZY MAJKA

Czy powstanie muzeum autobusów?

RODZINCE BRAK PRAWNUCZKA...

W tej rodzince dziadek liczy sobie 27 lat, a w metryce urodzenia ma wpisane: „Star 50", numer podwozia 0001 i jeszcze jedno znamienne określenie – prototyp. Tak, to chyba ten, który 12 października 1951 roku odbył na starachowickim torze pierwszą próbną jazdę jako pierwszy autobus polskiej konstrukcji. Tworem był udanym, bo przez wiele lat dobrze służył pasażerom, a zanim stanął na zasłużony odpoczynek, woził jeszcze wesołe gromady harcerzy na obozowiska i przemierzał z nimi świętokrzyskie szlaki. Oni też nadali mu sympatyczny przydomek „Dziadek" i choć już ich od czterech lat nie wozi, dbają o niego i konserwują.

Jego miejsce zajął „Wnuczek". On teraz – choć też już nie pierwszej młodości i z jego „zdrowiem" coraz gorzej – wiernie służy starachowickim harcerzom. A trzeba przyznać, że służba nie jest lekka, bo ten właśnie hufiec organizuje wiele ciekawych i pożytecznych imprez, w których gremialnie uczestniczy młodzież z całego kraju. Coraz trudniej mu jednak podołać rosnącym z roku na rok zadaniom w rozwijających się akcjach i imprezach. Los „Wnuczka" jest już przesądzony – za rok lub dwa odbędzie swoją ostatnią podróż na... złomowisko.

Co innego „Dziadek". Jest przecież cennym zabytkiem rozwijającej się w Polsce motoryzacji. Dziwne tylko, że do tej pory nie znalazł się jeszcze wśród muzealnych eksponatów. Wprawdzie można go było oglądać na tegorocznej wystawie autobusów w Sanoku, ale czy już zostanie tam jako zalążek autobusowego muzeum?

Skądinąd wiemy, że dyrekcja Sanockiej Fabryki Autobusów zamierza utworzyć takie muzeum. Chwała jej za tą cenną inicjatywę! Oby tylko ci, od których decyzji zależy jej urzeczywistnienie, nie czekali dotąd, aż „Dziadka" rodem ze Starachowic i podobne jemu autobusowe zabytki zeżre rdza.

A tak już na marginesie, to po odejściu „Dziadka" do muzeum (na przecięcie wstęgi przyjedziemy!) i coraz bardziej niechętnego do jazdy „Wnuczka", przydałby się starachowickim harcerzom wesoły i sprawny „Prawnuczek". Tradycje rodzinne trzeba przecież kontynuować! Radość byłaby ogromna, bo dwudziesty jubileuszowy Rajd Świętokrzyski, jedna z najpiękniejszych turystycznych imprez harcerskich w kraju, już za pasem.

RYSZARD RATAJCZYK

UWAGA! Pociąg nadzwyczajny!

Pierwszego października na Komendę Łódzkiej Chorągwi ZHP i hufce do niej należące posypała się lawina listów. Nadawca każdego z nich był ten sam: **Dyrekcja Rejonowa Kolei Państwowych w Łodzi, Dział Handlowo-Przewozowy.** Treść wszystkich podobna: *DRKP wzywa do uiszczenia opłaty dodatkowej za naruszenie planu przewozu dzieci i młodzieży na kolonie letnie.* I tu w listach następuje urozmaicenie. Padają kwoty: 400 zł, 210 zł, 1 200 zł, 5 400 zł, 500 zł... itd. itd. **W sumie uzbierało się tego ponad 23 000 zł!**

Listy wzbudziły ogólną konsternację. Przecież od tylu lat harcerze wyjeżdżają na wakacje pociągami tzw. nadzwyczajnymi i nigdy nie było żadnych kar, czy – jak to się ładniej nazywa – opłat dodatkowych za zwiększenie lub zmniejszenie w stosunku do pierwotnego planu liczby osób korzystających z tego rodzaju transportu. Dla niewtajemniczonych wyjaśnienie: pociągi nadzwyczajne są przeznaczone wyłącznie do przewozu zorganizowanych grup w sezonie turystycznym. Każdy pasażer ma zarezerwowane miejsce siedzące, licząc... 10 (!) osób na przedział. A tu nagle – łup! 23 tysiące!

Próby wyjaśnienia sprawy w DRKP nie powiodły się. Z-ca Komendanta Chorągwi, hm **Henryk Baliński**, wysłał więc tam pismo, w którym stwierdza, że rezerwując miejsca w marcu (tego wymaga przewoźnik) nie można co do sztuki wyliczyć, ile osób pojedzie w każdej grupie. Na przykład w tym roku w pobliżu obozowiska w woj. bydgoskim odnotowano przypadki wścieklizny i obóz trzeba było przenieść gdzie indziej. Pociągiem, który wiózł młodzież w tamtą stronę pojechało więc mniej osób, za to w inną – więcej. Zmiany nastąpiły również na skutek przesunięcia terminu żniw. Sporo harcerzy pochodzących ze wsi musiało w ogóle zrezygnować z wyjazdu na obóz, gdyż byli potrzebni w gospodarstwie rodziców. Nie mówiąc już o tym, że gdy kilka miesięcy wcześniej planuje się wyjazd kilkusetosobowej grupy, to może się zdarzyć, że w ostatnim momencie ktoś jeden czy drugi np. zachoruje. Tych ostatnich wypadków nie sposób przewidzieć do godziny odjazdu. Jeśli było to możliwe, informowano kolej o zmianach wcześniej niż 7 dni przed odjazdem, w niektórych wypadkach już w połowie kwietnia.

Nikt poza tym nie zawiadomił komendy chorągwi o grożących opłatach dodatkowych. Nie wiedziała też o tym Główna Kwatera ZHP. Kary spadły jak grom z jasnego nieba.

Szkoda, że kolej nie płaci „opłat dodatkowych" za takie drobiazgi jak: niepodstawienie wagonów w ustalonym terminie, przewóz wagonami niesprawnymi, zamykanymi na drut, pobieranie opłat za pociąg pospieszny, a przewożenie z szybkością mniejszą niż osiąga pociąg osobowy. Kolej dyktuje warunki, harcerze muszą się podporządkować!

Harcerze z Łodzi przyzwyczaili się już do sytuacji, że są wysadzani o 70 lub 90 km od terenu obozowiska. Rozwożenie pociągami wg planu PKP doprowadza do takich sytuacji, że na terenie obozu przez jeden dzień są razem ci, co dopiero przyjechali, i ci, co już odjeżdżają. Wprowadza to niesamowity zamęt. Jeśli jednak nie skorzysta się z tego pociągu, to następny przyjeżdża dopiero za tydzień. **W czasie ostatnich wakacji kolej zaprogramowała łódzkim harcerzom „tylko" dwie tygodniowe przerwy między kolejnymi turnusami w Białym Borze i Jarosławcu.** Ktoś musiał przez ten tydzień pilnować sprzętu, zadbać o wyżywienie wartowników, a obozowisko było niewykorzystane. Nie było po prostu pociągu, którym można by na te obozy dojechać.

Organizatorzy obozów muszą się godzić na takie warunki. Nie mają innego wyjścia. Przejazd autobusami PKS możliwy jest (zgodnie z przepisami) tylko na trasach krótszych, do 150 km. By jechać dalej, trzeba skorzystać z usług PKP. W tym celu należy do połowy marca zgłosić propozycje letnich terminów i tras przejazdów. Potem odbywa się narada, która podobno służy porozumieniu się przewoźnika z organizatorami kolonii i obozów. Piszę „podobno", bo jak wynika z relacji przedstawicielki Łódzkiej Chorągwi ZHP, która z urzędu bierze w niej udział, nie ma tam miejsca na żadne konsultacje, czy choćby nieśmiałe zaproponowanie jakichś zmian. Narada polega na tym, że przedstawiciel Dyrekcji Okręgu Kolei Państwowych w Warszawie wymienia daty i trasy pociągów nadzwyczajnych, którymi młodzież może pojechać na letni wypoczynek. Ci, którzy chcą jechać, muszą się zgodzić na postawione warunki.

– **Wcale nie muszą** – twierdzi pan **Zdzisław Sosnowski**, kierownik działu przewozów pasażerskich z Warszawskiej DOKP, gdzie trafiłam śladem listu w sprawie opłat dodatkowych. – **Wcale nie muszą** – powtarza. – **Przecież mogą nie jechać wcale!**

Rzeczywiście! Szkoda, że na ten pomysł nie wpadli organizatorzy letniego wypoczynku.

– A co będzie z tymi 23 tysiącami złotych – pytam.

– Będą płacić! Niech nie tłumaczą się nieznajomością przepisów. Jak dam komuś w głowę na ulicy, to też powiem, że nie znałem przepisów?!... Im się udało, że nie musieli tak jak inni zapłacić jeszcze przed wyjazdem. Ktoś nie dopatrzył. Przecież te opłaty są od dawna, ostatnio zmieniła się tylko ich wysokość. Mieli szczęście, że dotychczas nie płacili.

Próbuję innych argumentów. Jest w przepisach stwierdzenie, że DOKP udziela zwolnień od dodatkowych opłat w przypadku m. in. epidemii i klęsk żywiołowych. A właśnie w Bydgoskiem nie pozwolono na założenie obozowiska, ze względu na wściekliznę.

To nie przekonuje pana Sosnowskiego. „Jaka tam wścieklizna, chyba organizator się wściekł!" – mówi. – „Poza tym kary są potrzebne. Może to zmobilizuje wyjeżdżających do większej solidności. W czerwcu dzwonią do mnie z telewizji, pytają o pierwszy pociąg wakacyjny, bo chcą zrobić program. Ja podaję czas i miejsce. Przyjeżdżamy na Dworzec Wschodni. Są kamery, jest pociąg, tylko... młodzieży nie ma w żadnym wagonie. Po prostu, organizatorzy z Żoliborza zmienili plan wyjazdu swoich grup, ale nie zawiadomili nas o tym".

– Dlaczego są przerwy między turnusami? – pytam.

– Nie ma żadnych przerw – twierdzi pan Sosnowski. Gdy wymieniam konkretne przykłady, mówi: „Widocznie oni sami nie chcieli jechać. W tym czasie tamtą trasą jechał prawie pusty pociąg. Zmieściłoby się w nim około 500 osób".

Dla pana Sosnowskiego wszystko jest jasne. Jest przecież przepis o opłatach dodatkowych. Inni płacą, dlaczego tych z Łodzi traktować inaczej?!

Fakt. Zdarzają się wypadki nieodpowiedzialności przy rezerwowaniu miejsc. Jeśli organizator wyjazdu z Żoliborza – kto konkretnie, nie wiem – zmienił termin wyjazdu nie zawiadamiając PKP i narażając pana Sosnowskiego na blamaż przed telewizją (rozumiem jego zdenerwowanie i urażoną ambicję, choć chyba nie o telewizję w takim wypadku chodzi!), to jest to rzecz karygodna i niesolidnego organizatora ukarać trzeba. Tego KONKRETNEGO ORGANIZATORA. Jakie mają PKP prawo do karania wszystkich?!

Polskie Koleje Państwowe są instytucją usługową. Też fakt, że pracującą w warunkach nie najłatwiejszych, bo chętnych do korzystania z przewozu coraz to jest – i będzie – więcej, a możliwości przewozowe są takie, jakie są. **Nie jest to jednak żaden powód do nieliczenia się z klientem. Przepisy wydawane przez PKP mają charakter „umowy handlowej" i muszą w co najmniej równym stopniu uwzględniać interes klientów i państwowego przedsiębiorstwa. A o tym – wydaje mi się – zapomnieli i autorzy przepisów, i pan Sosnowski.**

Jeśli przepis jest tak sformułowany, że z góry działa na niekorzyść organizatora wyjazdu (bo z góry można przyjąć, że określana w marcu liczba uczestników obozu np. na 300 osób, w lipcu najprawdopodobniej zwiększy się lub zmniejszy o 10), to jest to przepis nieżyciowy. To, że inni płacili bez szemrania kary umowne – pardon, opłaty dodatkowe – świadczy tylko o tym, że dawali sobie jeździć po głowie. Bez logicznego uzasadnienia! Koleje jeździć powinny, ale nie po głowach organizatorów wakacyjnego wypoczynku dzieci i młodzieży, lecz po szynach.

I jeszcze jedna istotna uwaga. **Jest różnica między ustawami wydawanymi przez organa państwowe do tego uprawnione a tego typu przepisami regulującymi sposób korzystania z usług. Nieznajomością ustaw nie można się tłumaczyć. Tego typu przepisy mogą mieć obowiązującą moc tylko wtedy, jeśli przewoźnik poinformuje klienta a ten wyrazi zgodę na korzystanie z usługi na tych warunkach.**

23 tysiące złotych, które PKP usiłują wyegzekwować od łódzkich harcerzy, nie jest sumą zawrotną, ale nie o wielkość sumy tu chodzi. Gdyby do zapłacenia było 10 złotych, też byśmy protestowali. Nie można dać się zwariować! **Oczekujemy, że Ministerstwo Komunikacji skoryguje wspomniane przepisy, a Warszawska DOKP anuluje tę nieuzasadnioną i społecznie krzywdzącą karę.**

ANNA PACIOREK
Fot. J. Łopuszyński i CAF

REDAKCYJNA POCZTA

Idą na łatwiznę

Zauważyłam, że w „Redakcyjnej Poczcie" jest sporo listów od uczniów, których szkoły otrzymują imiona sławnych ludzi... Proszą oni o wiadomości i materiały o bohaterach szkół. Niestety, wcale to nie świadczy dobrze o autorach listów, wygląda wprost na to, że nie chce im się po prostu szukać materiałów. Kiedy na przykład nasza drużyna harcerska otrzymała imię Marii Konopnickiej, również baliśmy się, że nic nie znajdziemy. Było odwrotnie. Przy odrobinie dobrych chęci, kiedy wszyscy wzięli się do roboty materiałów nazbierało się aż nadto. A więc proponuję – szukajcie aż znajdziecie a nie oczekujcie na gotowe.

Danka z Lwówka Śl.

Wybieramy sami

Przeczytałam list Heńka z Olsztyna, (120 nr „ŚM") o wyznaczaniu przez nauczycieli zastępowych i członków samorządu klasowego. Rozmawiałam na ten temat z koleżankami, i kolegami z innych szkół. Oni twierdzą, że u nich jest tak właśnie jak opisał to Heniek. Natomiast w naszej klasie zawsze decydujemy sami (chodzę już ósmy rok do szkoły) o wyborze samorządu. Już na pierwszej naradzie wysuwamy trzy kandydatury na przewodniczącego klasy. Spośród nich wybieramy takiego ucznia, który najlepiej będzie spełniał swoje obowiązki. W drużynie również my decydujemy o zastępowych. I ja uważam, że tu wszystko zależy od nauczycieli – jaki wychowawca – taki samorząd. I... wcale nie dlatego, że to on decyduje o wyborach.

Hanka z Jarocina

Trzeba przeprosić

W naszej klasie niedawno (16 listopada) zaistniał przykry incydent. Otóż tego dnia mieliśmy mieć cztery lekcje. Odbyła się jednak tylko jedna planowa. Na drugiej zamiast wych. obyw. była chemia. Trzecia według planu to fizyka, pani nie było. Przed drugą lekcją ja i moja koleżanka słyszałyśmy rozmowę pani dyrektor z panią od chemii. Rozmawiały one o naszej klasie i pani dyrektor powiedziała, że po chemii idziemy do domu. Więc my poszłyśmy do klasy i powiedziałyśmy, że klasa idzie po chemii do domu. Tak też zrobiliśmy. Na drugi dzień rano do klasy wpadła p. dyrektor. – Kto wam kazał iść do domu – krzyczała. Ponieważ jestem gospodarzem klasy wstałam. Byłam nieco zdziwiona. Nie mogłam nic z siebie wydusić. P. dyrektor powiedziała, że obniży mi stopień ze sprawowania (z wzorowego na odpowiedni). Jestem sześć lat gospodarzem klasy i nigdy nie zdarzyło mi się coś podobnego. Błagam Was i proszę, pomóżcie mi.

Zrozpaczona siódmoklasistka

OD REDAKCJI: Racja jest po stronie p. dyrektor. Jeżeli słyszałaś rozmowę, ale polecenia nie otrzymałaś, mimo że jesteś gospodarzem klasy, nie miałaś prawa klasy zwalniać. Powinnaś się była najpierw upewnić. Radzimy Ci abyś przeprosiła p. dyrektor na najbliższym apelu. Z pewnością zrozumie, że nie było w Twoim postępowaniu złej woli. (wm)

LUDZIE, PASJA, PRZYGODA

Bibliopola XX wieku

Biorąc książkę do ręki wiemy, czyje myśli nam przekazuje, kto te myśli wydrukował. Bywa, że znajdziemy w niej nawet nazwisko tego, kto ją pięknie oprawił. Rzadko jednak mamy sposobność poznać ludzi z książką mocno związanych. Ludzi, dzięki którym dociera ona do naszych rąk.

Dziś opowiem o jednym z najstarszych księgarzy polskich, człowieku, którego życiorys związany jest z rozwojem księgarstwa w niepodległym kraju.

– Moje życie z książkami – mówi **Stefan Dippel** – zaczęło się bardzo dawno.

Była wioska maleńka na granicy trzech zaborów. Dzisiejsze Maczki zwano wówczas po prostu Granicą. Tam pod koniec wieku XIX zamieszkała rodzina Dipplów. Karol – głowa domu pracował na kolei. Jego żona – Józefa zajmowała się dwoma synami, Stanisławem i Henrykiem. Pieniędzy z tego kolejarstwa nigdy za dużo nie było. Toteż propozycja wydzierżawienia kiosku stacyjnego z czasopismami, materiałami piśmiennymi i... książkami przypadła Dipplom do gustu. Prowadzenie kiosku przynosiło zysk niewielki. Ale już wtedy chyba zrodziło się owo ukochanie książek, pracy wśród nich. Kiedy urodziło się trzecie dziecko, rodzina przeniosła się do znacznie ruchliwszego i większego Sosnowca. I tu Dipplowie wydzierżawili kiosk stacyjny, w którym urzędowała głównie pani Józefa. Mąż po powrocie z pracy siadał, by pomóc w prowadzeniu korespondencji, zamówieniach, jednym słowem w całej papierkowej robocie. W roku 1910 wraz z upaństwowieniem kolei przez Rosję zlikwidowano wszystkie kioski stacyjne. I wtedy właśnie, już dobrze nie wiadomo, kto wpadł na pomysł kupna księgarni – własnej księgarni. Tak się też stało.

Dzieciństwo Stefana kojarzy mu się z niewielkim pokojem, do którego zbiegał z mieszkania na pierwszym piętrze dziesięć albo i więcej razy na dzień. Pamięta ladę z gazetami, półkę z książkami i mnóstwo przyborów szkolnych, piór, zeszytów, ołówków itp. Na ulicy Orlej 19 szyld głosił wszem i wobec, że księgarenka J. Dippel działa.

– Ale proszę pani, co to było. Ja nawet zapachu książek nie pamiętam z tego okresu. To był taki trochę większy kiosk. Gdyby jednak nie księgarenka na Orlej, to pewnie i potem moje życie inaczej by się ułożyło.

TO BYŁ CUDOWNY ROK...

– Starsi – bracia i siostra – powyjeżdżali z domu. Zajęli się nauką, studiami. Tylko ja, najmłodszy pozostałem do pomocy matce.

Rodzice coraz bardziej przyzwyczajali się do myśli, że Stefan przejmie księgarnię, że zastąpi ich w pracy. A i syn do księgarni przyzwyczajał się coraz bardziej. Może jeszcze nie myślał wtedy, że to zajęcie wypełni mu całe życie, ale – jak sam mówi – w tamtych ciężkich czasach trzeba było utrzymać to, co osiągnęło się z takim trudem. A, kto miał ten „książkowy wózek" ciągnąć? Rodzice, starzy już i zmęczeni?

– Powiedziałem sobie wtedy – wspomina – chcesz zająć się księgarnią, Zgoda. Ale inaczej. Życie płynie naprzód. Stara księgarnia była dobra w starych czasach. Jeśli mam coś zmienić, to zacząć trzeba od siebie; muszę się uczyć.

Stefan Dippel nie mógł skończyć studiów, ale był żądny wiedzy, jak mało kto. Naukę księgarstwa rozpoczął od „podglądania" pracy starszych, doświadczonych już księgarzy sosnowieckich. Potem były wyprawy do Krakowa. Aż wreszcie wyjazd do stolicy. Praktyka w słynnej firmie Gebethnera i Wolffa – to było marzenie każdego początkującego. Wydawnictwo i księgarnia, które swym ogromem zaszokowały młodego człowieka, zajmowały trzy piętra dużej kamienicy.

– Przeszedłem wówczas wszystkie działy. Od przyjmowania książek, układania ich w poszczególnych działach na półkach, aż po pakowanie i wysyłkę.

20-letni praktykant podawał książki Reymontowi, Żeromskiemu, Prusowi. Wielcy pisarze rozmawiali z księgarzem o tym, co wyszło, a co wydane ma być w najbliższej przyszłości.

– I co mi wtedy zapadło w duszę, to ogromna znajomość tematu moich starszych kolegów. Zresztą wymagania w stosunku do nas też były wielkie. Często słychać było polecenie „proszę rozłożyć kwarantannę na półki" – to znaczyło rozłożenie książek, które sprzedawca po załatwieniu klienta chował pod ladę. I codziennie, dziesiątki książek spod lady trzeba było poznać by trafiły do właściwych działów. Tytuł książki to było za mało. Należało zajrzeć do wnętrza każdej z nich. Dam pani przykład: książka, której treścią jest historia kabaretu, a zatytułowana „Od siedmiu kotów do owcy" wsadzona mogłaby być z powodzeniem do działu „Zwierzęta". Ten cudowny rok dał mi więcej niż późniejsze lata pracy. Nauczył mnie kontaktu z książką i ludźmi.

PROSZĘ O PÓŁ METRA... KSIĄŻEK

Trudny był powrót do małej księgarenki w Sosnowcu. I kiedy tylko nadarzyła się okazja przeniesienia się do wielkiego Poznania, Stefan Dippel nie zastanawiał się zbyt długo. Na placu Wolności 11 w Poznaniu ukazał się szyld z jego nazwiskiem i napisem: Księgarnia – Skład Nut. Coraz częściej zjawiali się tu klienci. Najbardziej cieszyło właściciela nowej księgarni kiedy poznawał kupujących, kiedy miał już własną klientelę.

– Ostrzegano mnie przed konkurencyjnymi firmami. Zjedzą cię w tym Poznaniu – mówili. Nie tylko jednak nie zjedli, ale bardzo pomogli. Zresztą pomagaliśmy sobie wzajemnie. Kiedy np. ktoś przychodził po książkę, której akurat nie miałem w sklepie, posyłałem pana Ignacego – woźnego do sąsiedniej firmy po ten cenny dla mnie w tym momencie egzemplarz. I po 10 minutach klient dostawał to, co chciał. A ja pisałem kartkę do wydawnictwa z prośbą o przysłanie książki. Oddać mogłem ją już po dwóch dniach. Tyle czasu potrzeba było, by sprowadzić potrzebne książki nawet z Lipska.

Firma Stefan Dippel prosperowała coraz lepiej. Otwarta została wypożyczalnia, w której zgromadzono 20 tys. tytułów. I właśnie wtedy, kiedy marzenia urzeczywistniały się nadszedł rok 1939. Wojna. Zabrano Dipplowi jego własność i jego pracę. Wszystko. Książki wartości 250 tys. złotych. Od decyzji władz niemieckich nie było odwołania. Stefan, jego 73-letnia matka i jej siostra wywiezieni zostali z Poznania. Po wielu perypetiach dotarli do stolicy, gdzie przygarnął ich najstarszy brat – Stanisław.

– Uparłem się. Mimo wojny, wbrew wszystkiemu, będę prowadził polską księgarnię. W okupowanej Warszawie udało się jakimś cudem znaleźć lokal i za pożyczone pieniądze wykupić trochę książek.

Znów miał księgarnię. Jak prawie wszyscy włączył się w ruch podziemny.

– Wtedy bez tej praktykanckiej harówki u Gebethnera i Wolffa nie dałbym sobie rady. Skrupulatność i precyzja, która była drugą naturą każdego księgarza, pozwalała nam sprzedawać książki zakazane. Nie mogły one trafiać do swoich działów, bo byłyby przecież w razie kontroli szybko wyłapane. Stały więc na innej półce, a trafiałem do nich bezbłędnie.

– Czasem zdarzały się zupełnie nieoczekiwane sytuacje. Pamiętam przyszedł do mnie kiedyś młody Edmund Osmańczyk prosząc o pół metra książek. Zatkało mnie! Co, kpiny sobie urządza z porządnego człowieka? „Mam takiego kupca – wyjaśnił niezwykły klient – który skupuje wszystko, co dać mu może duże pieniądze".

Fot. **K. Adamowski**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

RADOŚCI I SMUTKI CZWÓRBOJU

• MISTRZ OCZEKUJE POMOCY

Przebojem wdarli się do elity czwórboistów. Na finale krajowym w roku 1975 zajęli dość odległą, trzynastą pozycję. W kolejnym sezonie uplasowali się na ósmym miejscu, a kilka miesięcy temu, w Olecku (woj. suwalskie), byli już najlepszą drużyną naszej imprezy. Wprawdzie 1159 pkt. nie jest imponującym rezultatem, ale należy pamiętać, że w myśl nowego regulaminu czwórboju w zawodach mogą uczestniczyć tylko uczniowie klas szóstych, a nie siódmych, jak to miało miejsce w poprzednich latach. Wracając jednak do ostatniego sukcesu reprezentantów **Zbiorczej Szkoły Gminnej** z **Gubina**, bo o nich tu mowa, warto wspomnieć, że w Olecku wygrali oni także klasyfikację indywidualną. **Andrzej Lemański** (258 pkt.) oraz **Robert Ostrowski** (252 pkt.) stanęli na najwyższych stopniach podium. Niezwykle rzadki to wypadek, aby jedna drużyna zdobyła jednocześnie niemal komplet trofeów.

Gubińska Zbiorcza Szkoła Gminna już od dawna zasłużyła sobie na piękny stadion. Ale nadal jej lekkoatleci skazani są na prowizorkę.

Jadąc do Gubina chcieliśmy zaznajomić się ze źródłami sportowych powodzeń tamtejszej ZSG. Jej uczniowie będą przecież reprezentować naszą redakcję w przyszłorocznym finale międzynarodowym. Czy mają szansę na nawiązanie skutecznej rywalizacji z zawsze groźnymi zawodnikami Rumunii, ZSRR, Mongolii, Kuby? Jak wyglądają ich przygotowania do obrony pucharu „Świata Młodych"? Na te i inne tematy rozmawiamy z nauczycielem wf gubińskiej szkoły – panem **Jerzym Gąsiorem**.

– Muszę zacząć od sprawy dla nas najtrudniejszej – powiedział Jerzy Gąsior. **– Pomimo wielu lekkoatletycznych sukcesów, od lat nie mamy żadnego stadionu. Wprawdzie nasza sala gimnastyczna jest należycie wyposażona w sprzęt i mieszczą się w niej pełnowymiarowe boiska do gry w siatkówkę i koszykówkę, jednak dla lekkoatletów stanowi ona wyłącznie półśrodek. Brak bieżni, skoczni i rzutni utrudnia nam prowadzenie podstawowego treningu. Już od dawna mówi się u nas o budowie stadionu, zgromadzono fundusze, jest dokumentacja i – co najważniejsze – ogromny zapał nauczycieli oraz uczniów do społecznej pracy. Ale tam, gdzie przewidziano urządzenie lekkoatletycznego boiska, w dalszym ciągu znajdują się... ogródki działkowe. Uważam, że można było przekwaterować działkowiczów na inny teren. Bez szkody dla obu stron. Mamy nadzieję, że władze miasta zajmą się wreszcie tym problemem.**

– Już w Olecku zauważyliśmy, że piętą achillesową aktualnego mistrza czwórboju, w przeciwieństwie do konkurencji technicznych, są rzuty...

– A jak je doskonalić, skoro rzucona spod szkolnego budynku piłeczka ląduje na poletkach miłośników upraw pomidorów czy truskawek?! Zresztą brak odpowiedniej przestrzeni odbija się ujemnie i na innych dyscyplinach. Ręce nam opadają, gdy mamy trenować biegi, piłkę ręczną lub nożną. Szkoła liczy 1200 uczniów. Zalecana przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania tzw. godzina sportu staje się u nas zwykłą fikcją.

– Nie jest chyba tak źle, skoro prócz czwórbojowych sukcesów odnosicie doskonałe rezultaty w biegach sztafetowych. Również w grach zespołowych nie występujecie w roli dostarczycieli punktów innym.

– Nie upajamy się sukcesami, ani nie chwalimy. Twierdzę tylko, że maniacki upór rolnika plus doświadczenia są gwarancją plonów nawet na ugorze. A w ZSG, choć posiada ona tylko jedną klasę sportową, wf i zajęcia SKS są traktowane na równi z przedmiotami ogólnymi. Tak przez uczniów, jak i ich wychowawców. Ot, i cała nasze tajemnica...

– Teraz trzeba myśleć o starcie w gronie międzynarodowych rywali. Jak przygotowujecie się do tej konfrontacji?

– Wiem, że w finale międzynarodowym, aby coś zwojować, trzeba „zrobić" około 1500 pkt. W chwili obecnej stać nas na 1450. Kadrowicze, mogę zapewnić, nie tracą czasu. Przydałyby się jednak dla nich dwa obozy kondycyjne, zimą i tuż przed startem. Myślę, że tu przyjdą nam z pomocą Kuratorium Oświady i Wychowania oraz Komenda Chorągwi ZHP. Bez niej trudno marzyć o postępach moich chłopców.

– Co jest najsilniejszą stroną zespołu?

– Nie ulega wątpliwości, że skoki. Andrzej Lemański skacze w dal 5,75 m. Obiecuje, że wiosną osiągnie jeszcze lepszy wynik. Robert Ostrowski i Artur Moskal pokonują poprzeczkę na wysokości 165–170 cm. Zresztą każdy z czwórboistów skacze wzwyż powyżej 155 cm. Najgorzej jest z rzutami. Kto wie czy nie przekwalifikujemy się na miotanie kulą.

– Od dwóch lat dzierżycie tytuł najbardziej usportowionej szkoły woj. zielonogórskiego. Podobno utrzymujecie kontakty ze szkołami zagranicznymi?

– W 1975 roku dotarliśmy aż do półfinałów ogólnoniemieckiej imprezy „Sport i zabawa", organizowanej przez telewizję NRD. Ostatnio jednak zrezygnowaliśmy z „wypraw" za Nysę. Przygraniczne szkoły naszych zachodnich sąsiadów nie prezentują zbyt wysokiego poziomu sportowego. Możemy im jednak pozazdrościć wspaniałych hal i boisk. Ale wracając do czwórboju żałuję bardzo, że nie znamy dotąd dokładnego regulaminu, który obowiązywał będzie w przyszłorocznych startach. Niemniej jednak zrobimy wszystko, aby nie być tylko meteorem. Wasz puchar może przecież postać w naszej szkole jeszcze parę lat.

– Dziękujemy za rozmowę, życzymy sukcesów i do zobaczenia na boiskach.

Rozmawiał: **ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI**

Fot. autora

P.S. Jak poinformował nas Zarząd Główny Szkolnego Związku Sportowego, przyszłoroczne zawody czwórbojowe będą przebiegać bez regulaminowych zmian. Ale każda drużyna, zamiast któregoś ze skoków, może wybrać sobie biegi wytrzymałościowe. Rzut piłeczką palantową również można zastąpić pchnięciem kulą. Tabele punktowe wszystkich dyscyplin znajdują się w Zarządach Wojewódzkich SZS.

Zanosi się na to, że już wkrótce matematyka stanie się jedną z największych szkolnych przyjemności...

Gra kontra nuda

POJEDYNEK ADMIRAŁÓW PODWODNEJ FLOTY

Dzisiejsze sześciolatki już w przyszłym roku zaczną chodzić do 10-letniej szkoły powszechnej. Jej program jest ambitny i trudny. Na przedmioty ścisłe przeznaczono w nim stosunkowo niewiele czasu. Uczniowie młodszych klas będą mieli po pięć lekcji matematyki w tygodniu, a ich starsi koledzy, bliscy matury, tylko trzy godziny gdyż niektóre zagadnienia, których dawniej uczyli się licealiści przeniesiono... nawet do czwartej klasy. A przecież zwykłe rachowanie czwartoklasiści też muszą opanować!

W nowym systemie tradycyjne podręczniki nie zdałyby egzaminu. Ta sytuacja zmusza naukowców do poszukiwania nowych rozwiązań. Pierwszy warunek, który muszą spełniać – to oszczędność czasu...

– *Jedną godzinę w tygodniu pozwala np. wygospodarować wydrukowany zeszyt ćwiczeń z gotowymi objaśnieniami. To zarazem dokument pracy ucznia łatwy do sprawdzenia przez nauczyciela. Nawet jeśli uczeń przeniesie się do innej szkoły, nauczyciel na podstawie tego zeszytu szybko będzie mógł ocenić postępy nowego wychowanka* – mówi autor najnowszego i zupełnie niezwykłego podręcznika matematyki dla czwartej klasy doc. **Wacław Zawadowski.**

MATEMATYKA JAKIEJ NIE ZNACIE

Zamiast przepisywać definicję z tablicy wystarczy zajrzeć do zeszytu ćwiczeń, gdzie została w odpowiednim miejscu wydrukowana. Będą i zadania „poważne", no, słupków też nie można zupełnie pominąć. Ale zamiast wkuwania reguł o ile milej poznać je mimochodem, w czasie zabawy. Największą atrakcją nowych podręczników i zeszytów ćwiczeń będą gry, na co dzień urozmaicające naukę matematyki. Najtrudniejszą definicję da się zapamiętać i polubić jako regułę pasjonującej gry...

Czwartej klasie autor proponuje 10 gier, ale jeśli połowa zostanie wykorzystana to i tak gracze odniosą duże korzyści. Dzięki grom dużą biegłość w rachowaniu mogą osiągnąć nawet ci, którzy piszą koślawo, niewyraźnie i często się mylą przepisując z tablicy. Gra zespołowa i to w czasie lekcji uczy również przestrzegania reguł różnych gier w ogóle, wyrabiając przy sposobności postawę fair play, czyli uczciwego traktowania przeciwnika. A jeśli ktoś wykazuje małą aktywność zawsze znajdzie wśród kolegów z zespołu takich, którzy go zdopingują.

Również rodzice będą mogli pograć ze swoimi pociechami. Specjalna wkładka zawiera zasady poszczególnych gier. Niektóre z nich mogą być nieco trudne dla najmłodszych (mniej więcej tak jak przeciętna gra w karty) ale wszystkie bardzo ciekawe. Doskonała rozrywka nawet na deszczowe wakacje. A przy okazji powtarza się program matematyki.

Sądzę, że nowe podręczniki do matematyki dla IV i V klasy spodobają się wszystkim zainteresowanym: skłonią do pracy leniuchów, wciągną być może do gier matematycznych rodziny, a tym co nie mogą 45 minut usiedzieć spokojnie pozwolą nawet czasem pobiegać podczas lekcji.

MARIA WRÓBLEWSKA
Fot. Jacek Łopuszyński

Pomoce matematyczne – demonstrowane przez doc. Zawadowskiego są tak proste, że większość z nich każdy sam potrafi zrobić. Na zdjęciu nie ma niestety, pstrykającego krążka – licznika metrów służącego do pomiaru długości. To jedyna pomoc naukowa, która pomoże wykonać starsi koledzy. Potem zamiłowani sportsmeni wybiegną z nim w czasie lekcji na boisko, by zmierzyć jego wymiary. Cała klasa zajmie się później obliczaniem boiska

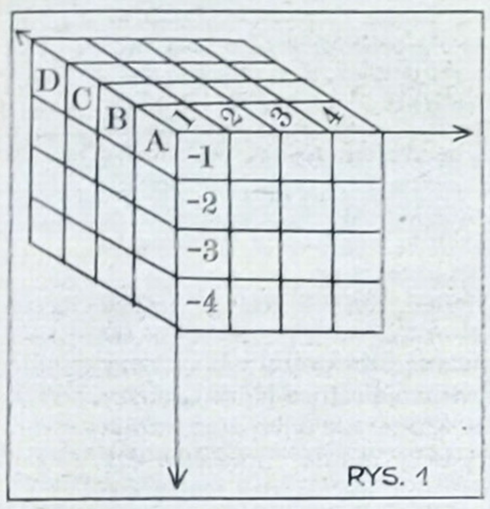

RYS. 1

Oto pierwsza z nowych, rewelacyjnych gier, które przygotował doc. Wacław Zawadowski z Instytutu Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego. Jest ona oparta na podobnych zasadach jak znana już dawniej „gra w okręty", ale o wiele ciekawsza. I co najważniejsze – będzie można grać w nią zupełnie legalnie w czasie lekcji matematyki...

Gracze walczą tu ze sobą nie na płaskiej planszy, lecz w przestrzeni trójwymiarowej (przedstawia ją rys. 1) i każdy ma do swej dyspozycji:

JEDNĄ łódź podwodną z **trzema** torpedami

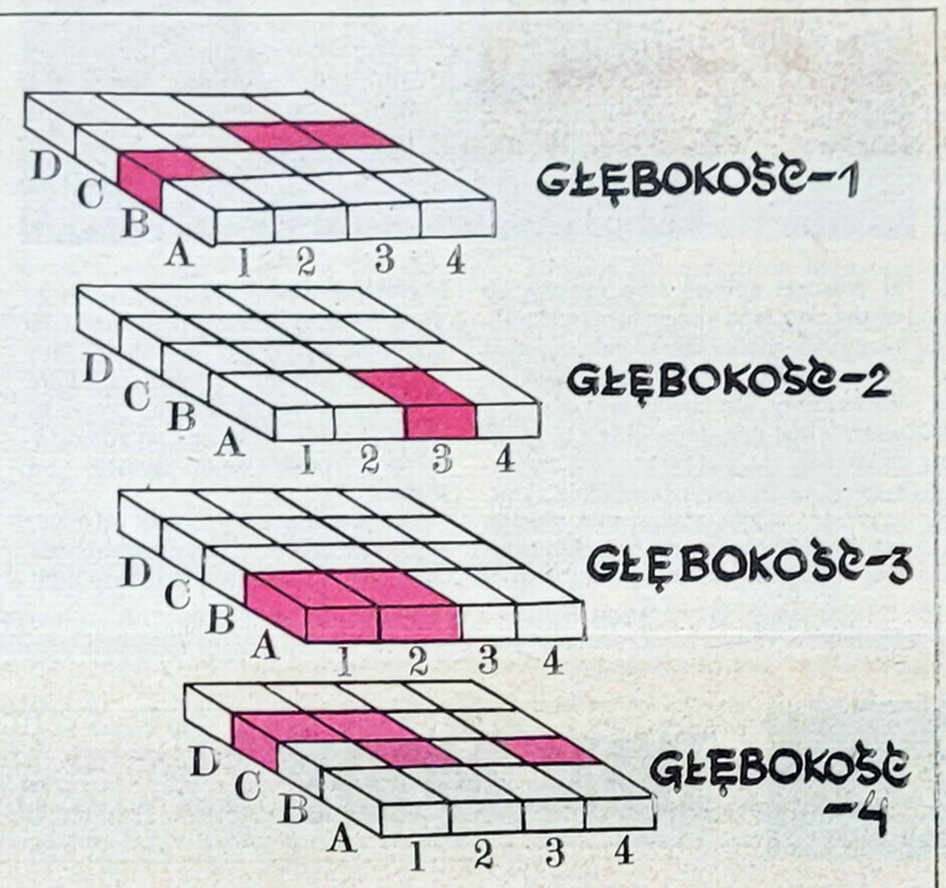

RYS. 2

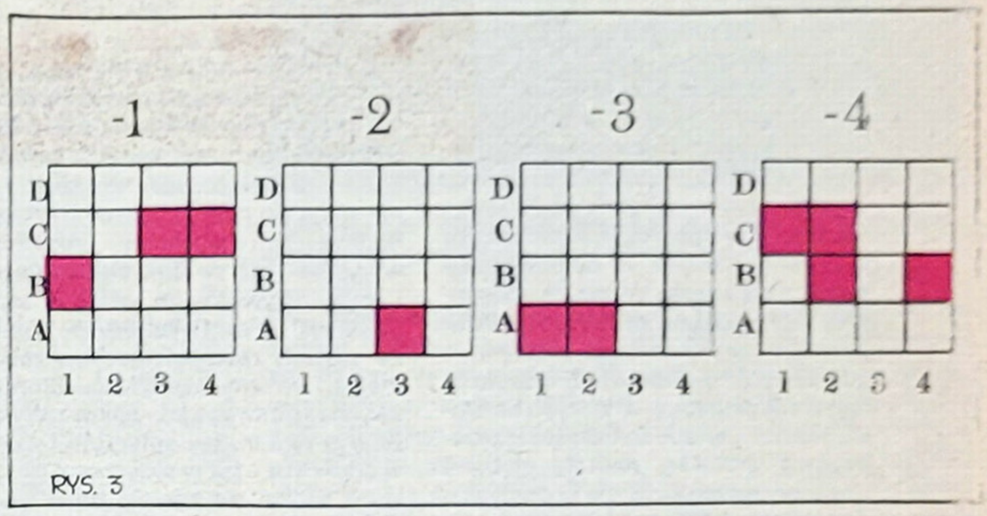

RYS. 3

DWIE łodzie podwodne z **dwoma** torpedami każda

TRZY łodzie podwodne z **jedną** torpedą każda.

Na planszach zaznacza się je przy pomocy trzech, dwóch i jednej kratki. Łodzie rozmieszczone są na różnych poziomach, czyli głębokościach morza. Przykładowe rozmieszczenie floty przedstawiono na rysunkach. Można zrobić to inaczej, możliwości jest mnóstwo.

Gracze oddają na przemian po jednym strzale, przy czym każdy podaje najpierw poziom, a dopiero potem współrzędne tego poziomu.

Przykładowy strzał. Głębokość: – 3, współrzędne: 1, B. Rzut oka na rys. 2 i 3 przekonuje nas, iż był to strzał niecelny, czyli pudło.

Dla ułatwienia każdy z graczy powinien przygotować sobie cztery duże kwadraty (rys. 3) podzielone na 16 pól każdy i na nich zaznaczyć usytuowanie swoich łodzi oraz oddawane do nich strzały. Cztery takie same następne kwadraty służą do zaznaczania własnych strzałów i trafień we flotę przeciwnika. Inne zasady gry – podobnie jak w zwykłej „grze w okręty".

Oczywiście jeśli ktoś ma więcej czasu i ochotę na trudniejszą grę, może zwiększyć ilość poziomów, łodzi oraz pól na każdym poziomie. Rysunki wyjaśniają tylko zasady, na jakich gra się odbywa. (jd)

Patrząc z mostu Karola...

Spotykają się tutaj turyści z całej Europy. I wszyscy wyjeżdżają oszołomieni pięknem tego miasta. Zresztą nie na darmo mówią o niej „Złota Praga".

Nad miastem górują Hradczany. Tutaj mieściła się dawniej rezydencja książąt, a potem królów czeskich. Obok Zamku Królewskiego strzelista gotycka katedra św. Wita z bajecznie kolorowymi witrażami. Za zaułkiem maleńka Złota Uliczka. Dawniej mieściły się tu warsztaty złotników praskich. Dzisiaj, zagnieździły się w nich przytulne kafejki i antykwariaty.

Z królewskiego tarasu rozpościera się widok na miasto. Wąskimi, krętymi uliczkami można zejść niżej i dotrzeć na most Karola. Nie widział prawdziwej Pragi ktoś, kto nie patrzył na Wełtawę właśnie stąd. Tutaj spotykają się najczęściej młodzi prażanie, jest to również ulubione miejsce malarzy. (ach)

Fot. **Marek Szymański**

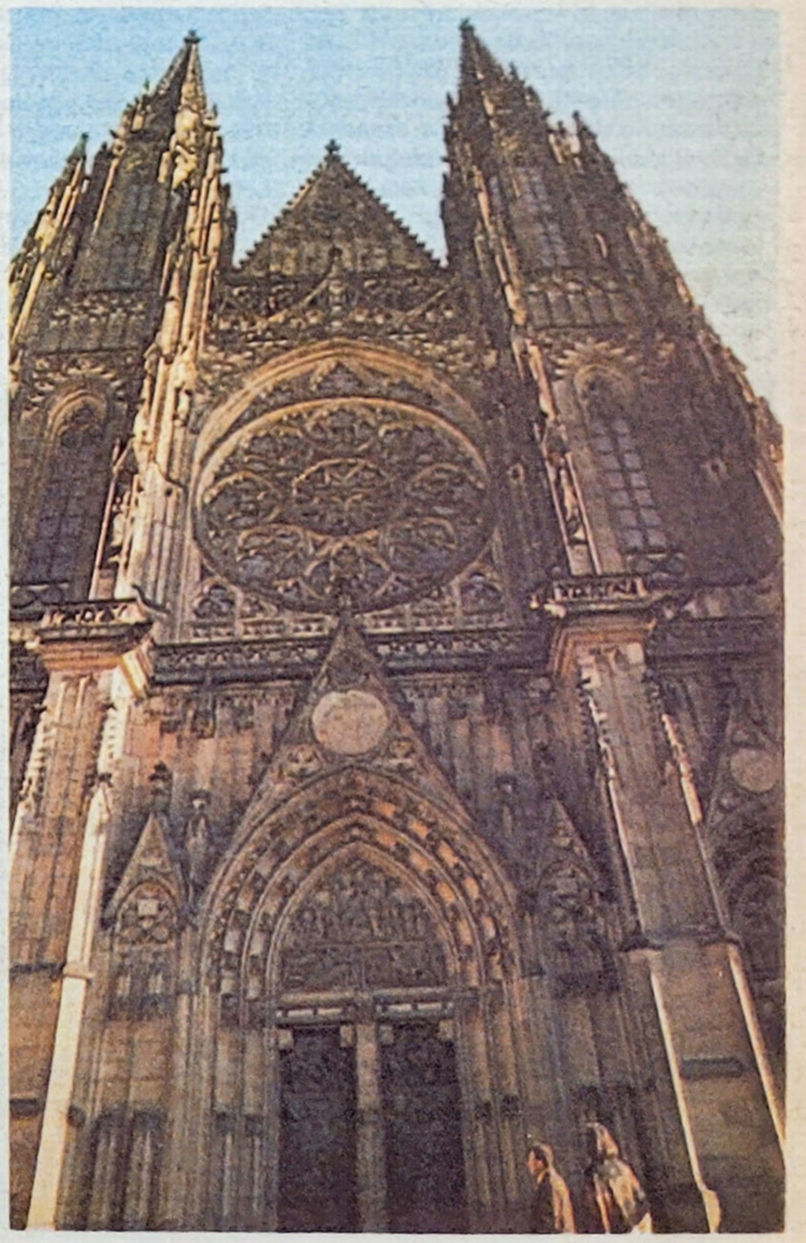

HAMLET
z Teatru na Tagance
Władimir Wysocki

GWIAZDOZBIÓR

Ma 39 lat. Kocha góry, podróżuje. Jego żoną jest francuska aktorka Marina Vlady. On – również aktor – występuje w moskiewskim Teatrze na Tagance. Grywa w filmach (ostatnio z uczernioną twarzą pojawił się w „Opowieści o tym, jak car Piotr Murzyna swatał" w reż. Al. Mitty). Pisze też i komponuje (jego piosenki wzbogacały film „Wertikal"), śpiewa akompaniując sobie na gitarze, nagrywa płyty. Jak Bułat Okudżawa cieszy się popularnością nie tylko w Związku Radzieckim.

Utwory Władimira Wysockiego wywodzą się z tradycji studenckiej, z piosenki turystycznej i ludowej. Jego proste, oparte na kilku zaledwie akordach ballady o nieskomplikowanej fabule, te ujęte w reporterskim skrócie obrazki z życia – chętnie podchwytywane są przy ogniskach. Ale ich słowa cytowano również w najpoważniejszych dyskusjach. W swych piosenkach poruszał bowiem Wysocki aktualne tematy nie unikając problemów „drażliwych" i trudnych. Z czasem te śpiewane felietony, w których beztroski humor sąsiadował często z przejmującą groteską, nabrały głębszej wymowy, przerodziły się w poetyckie uogólnienia ludzkiego losu.

Ulubieni bohaterzy Wysockiego to ci wszyscy tułacze, którym wojna lub pasja odkrywców każe przemierzać bezkresne stepy, zdobywać górskie szczyty, pokonywać tajgę. Wyrażają oni tesknotę artysty za prawymi, odważnymi ludźmi umiejącymi żyć „na pełnych obrotach". W piosence „Szczyt" śpiewa o tym, że w górach można liczyć tylko na krzepkość swych rąk, na dłoń przyjaciela i wbity w skałę hak. Lepiej wszak poznać siebie podejmując ryzyko, niż zginąć od chorób i wódki. „Bo od gór mogą być lepsze tylko góry, w których jeszcze nie byłeś" – tłumaczy w „Pożegnaniu z górami"...

Wysocki nie boi się otwartości, nazywania wszystkiego po imieniu, obca mu jest moralna dwuznaczność i połowiczność. Nie znosi poczucia bezradności i ckliwego sentymentalizmu – nie waha się podnosić głos, krzyczeć. Porywa tym słuchaczy, imponuje wszystkim, którzy czują się zagubieni i słabi, przywraca im wiarę w sens działania, w sprawiedliwość. Uczula na absurdy rzeczywistości, na zakłamanie, cynizm i podłość. Brońcie swych racji, swego ja! – śpiewa. Wyraża przy tym trudny optymizm i wiarę w człowieka – jak w piosence o ziemi, której wojny nie zdołały zniszczyć – Ziemi: naszej matce i duszy, której buciorami nie zdepczesz...

Nie bez znaczenia jest sposób, w jaki Wysocki śpiewa swe utwory, co wiąże się z jego specyficznym aktorstwem. Niechętny wszelkim przyjętym raz na zawsze konwencjom, żywiołowy i szczery, ma bowiem artysta swój własny styl gry. Jego głos z biegiem czasu ochrypł, stał się bardziej dramatyczny, natarczywy. Ta właśnie natarczywość, ciągłe atakowanie słuchaczy, zmuszanie ich do natychmiastowej reakcji jest dla niego najbardziej charakterystyczne. Mówią, że nosi serce na dłoni, że życia przed nami nie odgrywa, lecz gra o nie! Ale grożąca „przerysowaniem" nadwrażliwość moralna i emocjonalna nie prowadzi go do histerii. Służy raczej zdecydowanemu postawieniu sprawy, „po męsku".

Nie próbuje też niczego udawać, wie, że widzowie, którzy przeżyli choćby wojnę, nie znieśliby w teatrze udawanego cierpienia czy męstwa. Odwróciliby się od kokietującego ich, popisującego się aktora. Zrozumiał to wraz z całym zespołem Taganki podczas realizacji poetyckiego widowiska „Polegli i żywi", które poprzedziło nie mniej słynne montaże wierszy Woznniesieńskiego, Majakowskiego, Puszkina...

Mówią, że Wysocki jest aktorem własnych tematów, że w każdej roli stara się wyrazić swój światopogląd. Jego kreacje teatralne rzeczywiście łączy wiele z postaciami z jego piosenek. Jak zawadiackiego, upartego rozbójnika Chłopuszę z „Pugaczowa", jak nie chcącego się wyrzec swych poglądów Galileusza ze sztuki Brechta. Jak wszystkich tych jego bezkompromisowych młodych bohaterów, których wzloty dorównują wielkością ich upadkom.

Artysta dużo zawdzięcza wieloletniej współpracy z wybitnym reżyserem Teatru na Tagance Jurijem Lubimowem, w którego jeszcze dyplomowym a świetnym przedstawieniu „Dobrego człowieka z Seczuanu" Brechta – grał główną rolę. Lubimow właśnie obsadził Wysockiego w „Hamlecie", który przez krytykę uznany został za jedno z najlepszych światowych przedstawień 1976 roku.

Rozpoczyna je aktor siedząc na podłodze, grając na gitarze i deklamując wiersz Borysa Pasternaka. Początkowo zamknięty we własnym poetyckim świecie Hamlet jest powściągliwy, skupiony. W miarę rozwoju akcji zetknięty z brutalną rzeczywistością staje się podejrzliwy, cierpi. „Być albo nie być" wypowiada chwytając się za serce, które boli ogarnięte żądzą zemsty. Spektakl to niepokojący, gniewny, to groźne ostrzeżenie.

Hamlet Wysockiego wstrząsa nami. Artysta należy bowiem do nielicznej dziś grupy tych, którzy przywracają sztuce jej najgłębszy sens. Którzy nie tylko dostarczają rozrywki, „ładnie" śpiewają czy deklamują, lecz budzą nasze sumienia, otwierają oczy...

JULIUSZ GOSTKOWSKI

Fot. **archiwum**

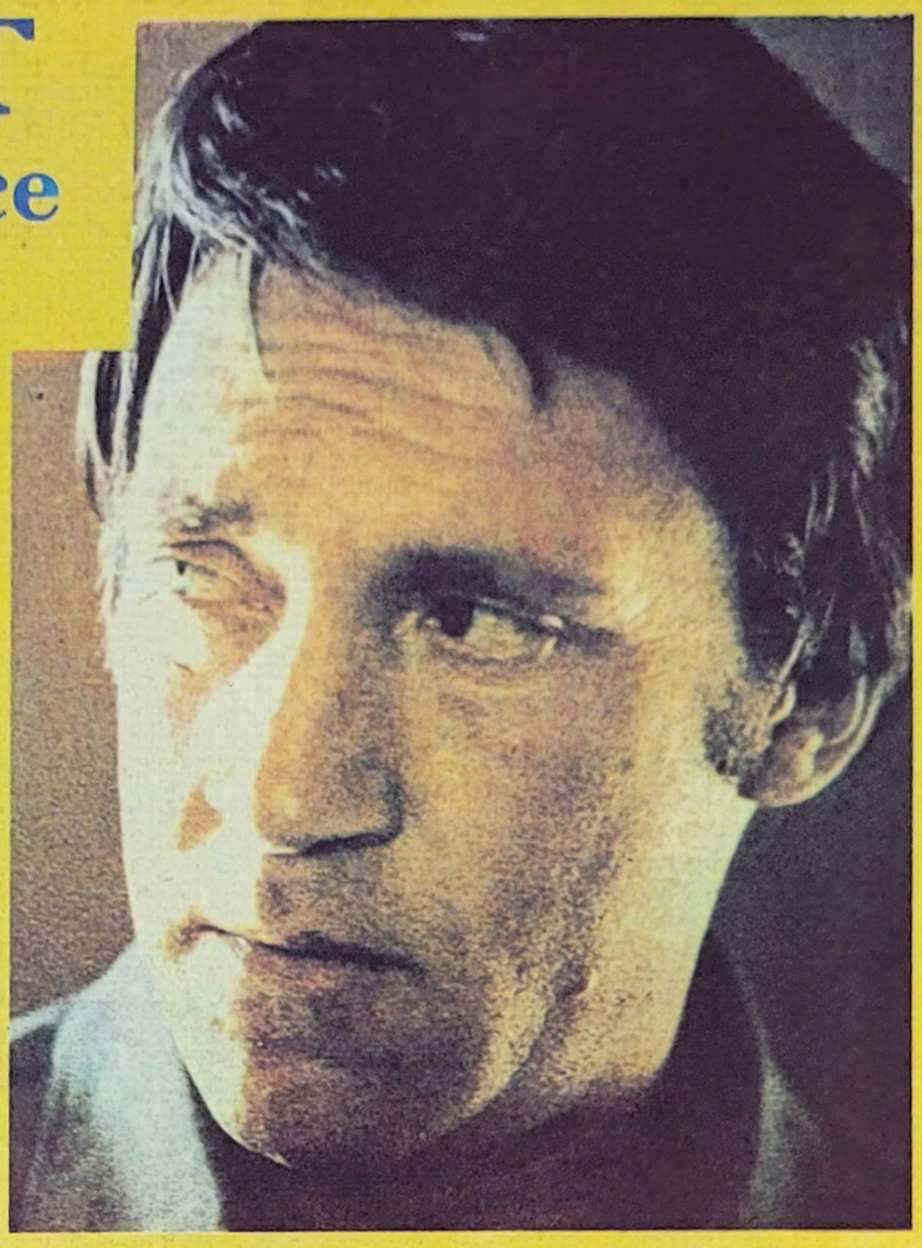

Wiosna w zimie

DOM MODY świata młodych

Co prawda od lat już ciuchy zimowe są bardzo kolorowe i wesołe, ale... głównie w żurnalach, bo – zupełnie nie wiadomo dlaczego – mocno jest ugruntowane przekonanie, że jak ciuch zimowy, to i praktyczny musi być, a jak praktyczny, to koniecznie szaro-bury. Strasznie słabo przyjmuje się również w okresie zimowym nurt w modzie fachowo zwany folklorystycznym, a niefachowo – przebieranką na pseudoludowo. A przecież – spójrzcie, proszę, na zdjęcia! – toż to istna wiosna w zimie!

O takich pseudoludowych przebierankach piszę systematycznie co kilka miesięcy i powtarzać bym się w szczegółach nie chciała. Nie ma to nic wspólnego z jakimś naprawdę egzystującym strojem ludowym, raczej bazuje na deseniach (kwiaty, kwiatki, kwiatuszki), kolorach (dużo czerwonego, zielonego plus białe dodatki np. bluzki), rodzajach materiału (podstawowe, to płótno, kreton), które w prehistorii zamierzchłej podstawę stroju ludowego stanowiły. To jest zresztą jedną z ogromnych tego stylu zalet – trzymając się pewnych kierunkowych zasad można sobie pozwolić na masę własnej fantazji.

Poza stylizowanym kostiumikiem (spódniczka plus bolerko), trzy pozostałe z dzisiejszych zdjęć są w gruncie rzeczy szalenie do siebie podobne, bo wszystkie prezentują pewne propozycje skonstruowane wg tego samego schematu. Szeroka marszczona spódnica kretonowa, najczęściej w kwiaty lub kwiatki, ale – jak widać – może być i inny wzór, np. kratka. Do tego bluzka z długimi, szerokimi rękawami. Albo wkładana przez głowę i marszczona przy dekolcie, albo rozpinana, tzw. koszulowa. Bluzka najczęściej też jest kretonowa (wtedy w kwiatki), może być również z materiału elegantszego, strojniejszego. Na bluzkę założony jest żakiecik-bolerko. Albo gładki, albo we wzorek, albo dopasowany, albo luźny, albo kusiutki, albo dłuższy, albo zapinany (może być wiązany z przodu), albo nie zapinany...

I to właściwie wszystko jeśli chodzi o „konstrukcję" zasadniczą. Może jeszcze dojść pasek, korale, fartuszek, chustka, grube, kolorowe pończochy (mogą być podkolanówki – spódnica sięga przecież za kolano), torebka... Jak komu fantazji i możliwości staje.

I... co Wy na to?! Zbliża się sezon prywatek, zabaw. W każdej chyba szafie znajdzie się kretonowa spódnica w kwiaty, bluzkę jakąś też się da skompletować... Wiosna w zimie ma oprócz niepowtarzalnego kolorytu jeszcze jedną istotną zaletę – da się bardzo szybko z posiadanych już w szafie rzeczy wyczarować. Ja w każdym razie jestem – za!

RIUSZKA

Decyzje piętnastolatków

ÓSMOKLASISTO!

Jeśli wahasz się z wyborem zawodu
Jeśli pociąga Cię ciekawy i piękny zawód
ZGŁOŚ SIĘ DO ZESPOŁU SZKÓŁ BUDOWLANYCH NR 1
Z. B. „WARSZAWA"
ul. Księcia Janusza 45/47
telefon 36-17-71
znajdziesz tu:

- możliwość zdobycia ciekawego i popłatnego zawodu,
- dobre warunki nauki,
- możliwość dalszego kształcenia się w Technikum Budowlanym lub Średnim Studium Zawodowym,
- rozwijanie swoich zainteresowań korzystając z takich osiągnięć techniki jak: telewizja szkolna, propagandowe nauczanie itp.
- miejsce w internacie i opiekę lekarską,
- szkoła uczy wielu atrakcyjnych zawodów.

NIE ZWLEKAJ Z DECYZJĄ ZGŁOŚ SIĘ JUŻ DZIŚ.
Zarezerwujemy Ci miejsce na rok szkolny 1978/79.

K-256

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

dze. Poradziłem mu. Kup pan książki – to dobry interes. A, że szafę ma, tak na szerokość pół metra, to mnie, jako znawcę, wysłał po tyle towaru, żeby mu się zmieściło w szafie."

Po upadku Powstania Warszawskiego – znowu bez swoich książek – znalazł się Stefan Dippel w obozie jenieckim. Po wyzwoleniu krótki pobyt za granicą i powrót do kraju. Do Warszawy. Miasto żyło wbrew wszystkiemu. I Stefan Dippel nie widział powodu, dla którego i on nie miałby wrócić do swoich książek. Wielu mieszkańców stolicy pamięta pewnie antykwariat Dippla i Hammera na Nowym Świecie blisko ul. Świętokrzyskiej. Jeśli chciało się kupić książkę szło się w ten właśnie rejon miasta, gdzie sąsiadowały ze sobą aż trzy antykwariaty. „Dessa", „Deka" (Dom Książki) i Deha (Dippel-Hammer).

Bibliopola XX wieku

– 10 lat siedziałem w naszej książkowej dziupli. Poznałem wtedy mnóstwo ludzi. Tadeusz Sygietyński podbierał cenne varsawiany Tuwimowi. Przychodzili profesorowie. Oskar Lange, Julian Krzyżanowski stawali na drabinkach i grzebali, grzebali w tych swoich książkach. Pamiętam przyszedł kiedyś jeden ze znanych poetów i spytał o jakąś ciekawą książkę o starej Warszawie. Niestety, nic nie mamy. Jedyną ciekawszą pozycję zarezerwowała dla siebie Mira Zimińska. „Och, to świetnie – ucieszył się klient – bo ja właśnie szukam prezentu dla Miry". I znów proszę pani, gdyby mnie nie nauczono starać się o klienta to mimo małej ilości księgarń w powojennej Warszawie, o tak znakomitej i stałej klienteli marzyć nawet bym nie mógł. Wiedzieliśmy, jakie książki interesują panie z biblioteki uniwersyteckiej, pamiętaliśmy o tym, o co pytał prof. Krzyżanowski, co już zdobył, a czego mu jeszcze brak. To była ta znajomość ludzi, ich upodobań. Wiedza o nich była zawsze motorem wszystkiego co robiłem przez całe życie.

Bibliopola – tak nazywano księgarza w czasach rzymskich – skupiał wokół siebie i swojej księgarni pisarzy, poetów, kronikarzy. Był ogniwem łączącym twórców i tych, którzy ich twórczością się interesowali. Tak było przez całe wieki.

Stefan Dippel, jeden z najstarszych polskich księgarzy, napisał swoje wspomnienia. I zatytułował je „KSIĘGARZE, KTÓRZY PRZEMINĘLI".

MILENA HAYKOWSKA

W artykule Jacka Potockiego zamieszczonym obok przeczytacie na końcu „kalendarz wydarzeń kosmicznych".

Otóż proponuję, aby nie traktować go zbyt serio, bowiem, jak uczy historia, mało kiedy przewidywania takie sprawdziły się. I to nie tylko w odniesieniu do kosmonautyki, ale także w szeroko pojętej działalności człowieka.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Kącik korespondentów

Astronomią interesują się: **Antoni Wojnar** (15 l.) – ul. Częstochowska 44/1, 42-600 Tarnowskie Góry; **Marzena Selma** (13 l.) – ul. Wrzeciono 8/21, Warszawa; **Zbigniew Jelonek** (13 l.) – ul. Krzywa 9B/13, 32-514 Jaworzno. Astronomią i astronautyką: **Adrian Bulka** (13 l.) – ul. Pokoju 7/7, 41-709 Ruda Śl. Astronomia i UFO: **Klaudiusz Bober** – ul. Karola Miarki 19, 43-200 Pszczyna; **Kornel Żemła** – ul. Jana Kupca 9, 43-200 Pszczyna. Astronomia, astronautyka i UFO: **Adam Jaśkiewicz** – ul. Konstytucyjna 3 m 42, 90-150 Łódź; **Leszek Orlicki** (17 l.) – ul. Mickiewicza 9/34, 82-503 Kwidzyń. NOL i łączność z ew. cywilizacjami pozaziemskimi: **Mariusz Łąka** – ul. Jasna 2/9, 11-600 Węgorzewo. Astronomia i możliwość życia na innych planetach: **Piotr Kostecki** – ul. Jerzyka 42/15, 62-100 Wągrowiec. Teoria względności (z zaawansowanymi): **Sławomir Chorek** i **Janusz Bańkowski** – Oś. 1000-lecia bl. 9/51, 97-400 Bełchatów.

POMYSŁ CIOŁKOWSKIEGO BĘDZIE ZREALIZOWANY

Chciałbym powiadomić ciebie, Tomiku, o słonecznych żaglowcach umożliwiających lepsze poznanie kosmosu. Każdy, kto jako tako orientuje się w problemach podróży międzyplanetarnych, rozumie doskonale, iż po to, żeby zbadać daleko, na krańcach naszego systemu znajdujące się planety, trzeba zupełnie innych środków komunikacji, a właściwie innych zupełnie rodzajów napędu dla pojazdów kosmicznych, niż stosowane dotychczas. Na tym tle zrodził się projekt, jaki opracowała instytucja z Pasadeny w Kalifornii. Tamtejsi uczeni proponują mianowicie wysłanie w przestrzeń międzygwiezdną żagla słonecznego, to znaczy pojazdu, który poruszałby się pod wpływem ciśnienia promieni słonecznych.

Na razie NASA przewiduje dwa typy tego rodzaju pojazdów kosmicznych. Typ pierwszy, to jedyny żagiel, rozpięty na lekkich beleczkach. Byłby to kwadrat o boku 800 m. W charakterze surowca służyłby cienki (2,5 mikrona) plastyk. Kwadratowa ta powierzchnia zostanie pokryta cienką warstwą aluminium. Właśnie ta warstwa aluminium, gładka jak lustro, odbije maksymalnie promienie słoneczne, pozwalając na pełne wykorzystanie ich ciśnienia. Na żaglu pojedynczym, w każdym z rogów kwadratu, znajdują się skrzydełka. Są one ruchome, dzięki czemu zmieniając swoje położenie, zmieniają jednocześnie kierunek szybowania żagla, a więc wpływają na jego trajektorię.

Drugi typ żagla słonecznego zaproponowany przez instytut w Pasadenie nosi nazwę holio-żyro. Jest to pojazd przypominający z jednej strony śmigłowiec, a z drugiej... heliotrop. W tym wypadku nie chodzi bowiem o jeden żagiel, ale o dwanaście żagli rozpiętych na kształt gigantycznych płatków poprzymocowywanych do trzpienia. Tych dwanaście płatków-żagli służyłoby zarówno do napędu dzięki ciśnieniu promieni światła, jak też do kontroli lotu dzięki efektowi żyroskopowemu, związanemu z ich obrotami. Bowiem płatki helio-żyro obracają się i dzięki powstającej sile odśrodkowej będą odpowiednio napięte.

Prototyp jednożaglowca zostanie umieszczony w kosmosie w 1980 roku.

A oto planowany harmonogram lotów żaglowców: 1986 – przecięcie orbity komety Halleya, 1986 – lądowanie kabiny z załogą na Marsie po odłączeniu się od żaglowca i zabranie próbek gruntu marsjańskiego, 1990 – osiągnięcie planety Jowisz i powrót na Ziemię. W ten sposób spełniłoby się proroctwo i marzenie Konstantego Ciołkowskiego.

Jeden z amerykańskich uczonych, biorąc pod uwagę dotychczasowe osiągnięcia kosmonautyki i możliwości rozwoju techniki w tej dziedzinie, opracował kosmiczny kalendarz przyszłości. Przewiduje on następujące wydarzenia: 1983 – opracowanie mapy surowców znajdujących się na Księżycu; 1985 – upowszechnienie telewizji satelitarnej; 1987 – opracowanie mapy surowców Marsa; 1990 – załogowe lądowanie na Marsie, pierwsze próby przesyłania energii z wszechświata na Ziemię; 2000 – w kosmosie znajdzie się pierwsza ludzka kolonia, rozpocznie się wydobywanie surowców na innych planetach; 2013 – początek zbiorowych wypraw mieszkańców Ziemi do baz we wszechświecie; 2045 – użycie antymaterii do celów energetycznych; 2105 – liczba ziemskich mieszkańców wszechświata przekroczy liczbę ludności Ziemi; 2175 – pierwsze spotkanie z pozaziemską cywilizacją...

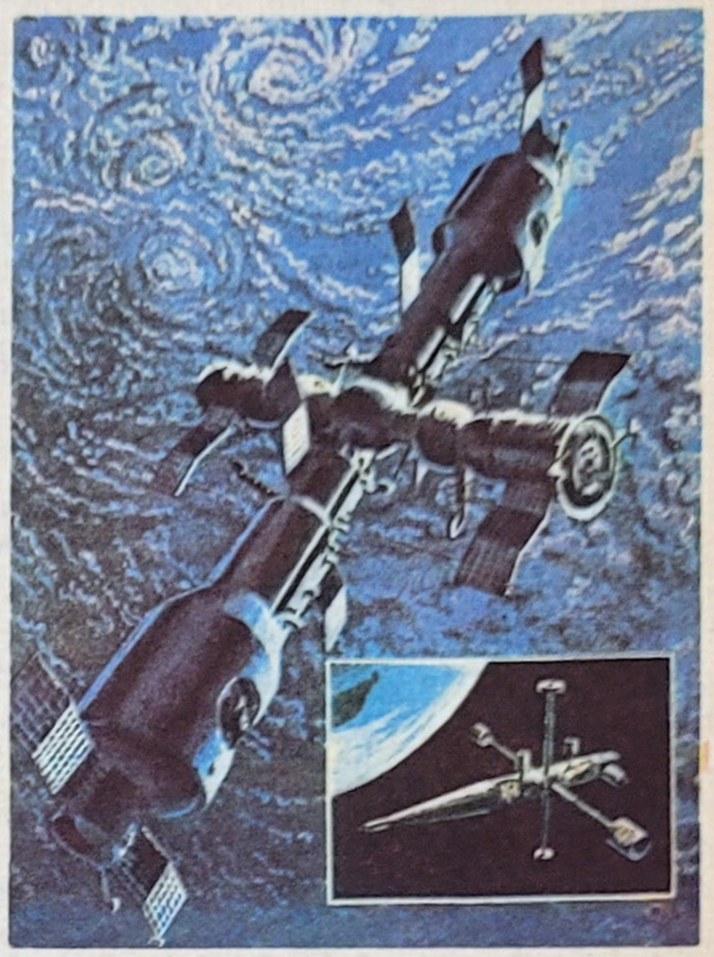

Projekty stacji orbitalnych przyszłości. Na zdjęciu górnym – stacja zmontowana z dwóch „Sojuzów" i dwóch „Salutów"

Jacek Potocki
ul. Kościuszki 7/7
58-573 Piechowice

P.S. Interesują mnie tematy astronomiczne, astronautyczne i NOL. Mam 15 lat.

TAM, GDZIE NIE PŁYNIE CZAS

Spośród wielu najróżnorodniejszych poglądów na naturę czasu, wybrałem pomysł, chyba najdziwniejszy, jaki zawdzięczamy amerykańskiemu fizykowi J.A. Wheerelowi. Wyznaje on zaskakujący pogląd na naturę czasu. Jego zdaniem upływ czasu, jaki obserwujemy we wszechświecie, jest wynikiem następujących kolejno po sobie trójwymiarowych, ale zupełnie nieruchomych obrazów kosmosu. Obrazy te, pojawiając się jeden po drugim stwarzają właśnie wrażenie upływu czasu. Więc czas według Wheerela nie istnieje. Trzeba również wiedzieć, że każdy obraz nieruchomy wszechświata zanurzony jest w trudnej do wyobrażenia SUPERPRZESTRZENI, której nie może wyobrazić sobie w zasadzie żaden człowiek. Jest ona swoistym magazynem wszystkich trójwymiarowych, zamarłych w czasie obrazów kosmosu. Wszystkich – a więc i tych, które już się wydarzyły, jak i tych, które wydarzą się dopiero w odległej lub bliższej przyszłości lub nie wydarzą się z powodów pewnych przypadków, o których nie piszę. Superprzestrzeń więc, jest swego rodzaju „niebem" obrazów wszechświata. Choć to chyba hipoteza, to wielu miłośników astronomii uznaje ją za prawdziwą.

Włodzimierz Tosik
Łysin
78-440 Czaplinek

P.S. Chętnie nawiążę korespondencję z innymi miłośnikami astronomii.

CHIRON–NOWA PLANETA W UKŁADZIE SŁONECZNYM

Mimo że hipoteza na temat nowej dziesiątej planety w układzie słonecznym nie została jeszcze ostatecznie potwierdzona, wiadomo już, jaką nazwę będzie nosić przypadkowo wykryte przez amerykańskiego astronoma Charlesa Kowala tajemnicze ciało niebieskie. Kowal, który poprzednio odkrył dwa spośród 13 satelitów Jowisza, zaproponował nazwanie hipotetycznej nowej planety w naszym układzie „Chiron" (jak nazywał się jeden z centaurów w mitach greckich). Nie zbadana dokładnie orbita Chirona przebiega pomiędzy Saturnem i Uranem. Zdaniem niektórych naukowców w przyszłości Chiron może w ogóle wejść w silne pole grawitacji Saturna. Średnica tego ciała niebieskiego jest bardzo mała, zaledwie 160 km. Przy pomocy specjalnych teleskopów miniplaneta będzie widoczna dopiero po osiągnięciu przez nią punktu największego zbliżenia do Słońca (perihelium), co nastąpi dopiero w lutym 1996 roku. Kowal odkrył to ciało w ub. miesiącu podczas codziennego penetrowania nieboskłonu. Zauważył on, iż tajemnicze ciało codziennie zmienia swoją pozycję, co skłoniło go do wysunięcia przypuszczenia, iż chodzi tu o planetę, poruszającą się po własnej orbicie.

Świnoujście leży na północny wschód od naszego lotniska. Przed samym końcem wojny nasze kompasy wskazują nie zachodni, lecz niemalże wschodni kierunek...

Berlin padł. A zatem wojna się kończy. Jak trudno w to uwierzyć. Tak długo, tak bezgranicznie długo się ciągnie.

Wojna się kończy! Takie to wspaniałe, cudowne, że wydaje się wprost nieprawdopodobne. Niemcy kapitulują. Trzyma się jeszcze jedynie zgrupowanie faszystowskich wojsk na północy. A jutro może, już w ogóle nie będziemy musiały bombardować.

Tak czy inaczej na nowym punkcie kazano nam, jak zwykle, zapoznać się z terenem bojowych działań. Zadanie; dzienny lot po „trójkącie". Lecę z Irą w dwa samoloty. I nie zastanawiając się zdecydowałyśmy, uniósłszy się w powietrze, zboczyć z wytyczonej trasy. W stronę Berlina, rzecz jasna.

To pasjonujące spojrzeć na Berlin z góry w dodatku w dzień. Czy nadarzy się jeszcze kiedyś taka sposobność? Jaki on jest, ten Berlin – „jaskinia faszystowskiej bestii", jak go zwą w dziennikach, stolica obalonych Niemiec?

Lecimy na niedużej wysokości. Pod skrzydłem – przedmieścia. Równe, jasne szosy. Wille w strzyżonych ogrodach. Dużo zieleni. Wszystko starannie utrzymane, geometrycznie proste. Nie ma ruin, przerytej rowami ziemi. Żadnych śladów wojny. Tak się przynajmniej wydaje, kiedy się patrzy z góry, z lotu ptaka. I najpewniej tak jest. Nasze wojska zajęły przecież ten obszar za jednym zamachem.

Podlatujemy bliżej i przed nami odsłania się olbrzymie, szare, na pół zrujnowane miasto. Dymi całe, gdzieniegdzie dopalają się pożary. Niebo prawie całkowicie zaciągnięte dymem i słońce z trudem przebija się przez szarą zasłonę. Świeci słabym, żółtawym światłem, jak przy zaćmieniu.

Przelatujemy nisko nad Reichstagiem, gdzie powiewa sztandar radziecki, i nad Bramą Brandenburską. Pewnie śmiesznie wyglądają nasze PO-2, dwie maleńkie pszczółki nad ogromnym miastem, rozrzuconym na wielu kilometrach.

Robimy duży krąg i wydobywamy się z dymu, lecimy do domu. Znowu jasno świeci słońce. Majowe słońce, takie samo słońce, jakie nam świeciło wtedy, gdy odlatywałyśmy na front. Takie – i nie takie – Nowe Słońce Zwycięstwa...

O tym, że ma być wydany rozkaz Naczelnego Dowódcy dowiedziałyśmy się 8 maja. Rozkaz, po którym nastanie pokój.

Zwycięstwo przyszło więc niespodziewanie.

Skakałyśmy, wrzeszczałyśmy, całowałyśmy się. W parku, pod kwitnącymi lipami, nakryłyśmy odświętnie stoły i wypiłyśmy za pokój. Wieczorem, hen daleko, w Moskwie, Ojczyzna oddawała honory wojskowe zwycięzcom. My urządziłyśmy sobie swoją salwę honorową: strzelałyśmy w górę barwnymi rakietami, paliłyśmy z pistoletów, wołałyśmy „hura!"

W ów dzień przywdziałyśmy suknie. Co prawda mundurowe, z naramiennikami. I pantofle. Nie buty, lecz pantofle uszyte na zamówienie. Przywieziono je ciężarówką. Pełną platformę – do wyboru! Prawdziwe pantofle, brązowe, na średnim obcasiku... Naturalnie nie jakieś wytworne czółenka, ale bądź co bądź pantofle. Wszak wojna się skończyła!

Pokój... Niósł on ze sobą to, co wielkie i dobre. Pokój – to było to, w imię czego szłyśmy na front, za co ginęły nasze koleżanki, to było nowe życie, które znałyśmy jeszcze tak mało. Większość dziewcząt lwią część swego świadomego, prawdziwie świadomego życia spędziło na wojnie. Gdzie będzie obecnie nasze miejsce?

Cztery lata... Poszłyśmy do wojska mając dziewiętnaście, nawet i osiemnaście lat. Przez te lata dojrzałyśmy. Ale prawdziwe życie z jego powszednią krzątaniną, lękami i niepokojami dla nas jeszcze się nie rozpoczęło. Żadna z nas nie miała pojęcia, co ją czeka jutro. Jedne chciały się uczyć, wrócić do instytutów, do przerwanych studiów. Inne marzyły o tym, by latać...

Z nastaniem pokoju wszystkie ciągnęło do domu. Od razu. Zapragnęłyśmy ostro, do bólu w sercu, znaleźć się tam, gdzie nas czekano, gdzie wszystko było takie znane, bliskie, swoje. Gdzie była Ojczyzna...

Ludzie różnie wyobrażają sobie Ojczyznę. Jedni jak dom, gdzie się narodzili, lub podwórze, ulicę, gdzie minęło im dzieciństwo. Drudzy – jak brzózkę nad rzeką w rodzinnym kraju, lub morze z szemrzącym u brzegu żwirem i skalną skarpą, skąd tak lekko skacze się w wodę...

A ja niczego określonego sobie nie wyobrażam. Dla mnie Ojczyzna – to dławiące uczucie, kiedy chce się płakać z tęsknoty i szczęścia, modlić się i cieszyć.

Ojczyzna...

Koniec

Uwaga: Wspomnienia Natalii Krawcowej ukażą się nakładem wydawnictwa Nasza Księgarnia w roku przyszłym.

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

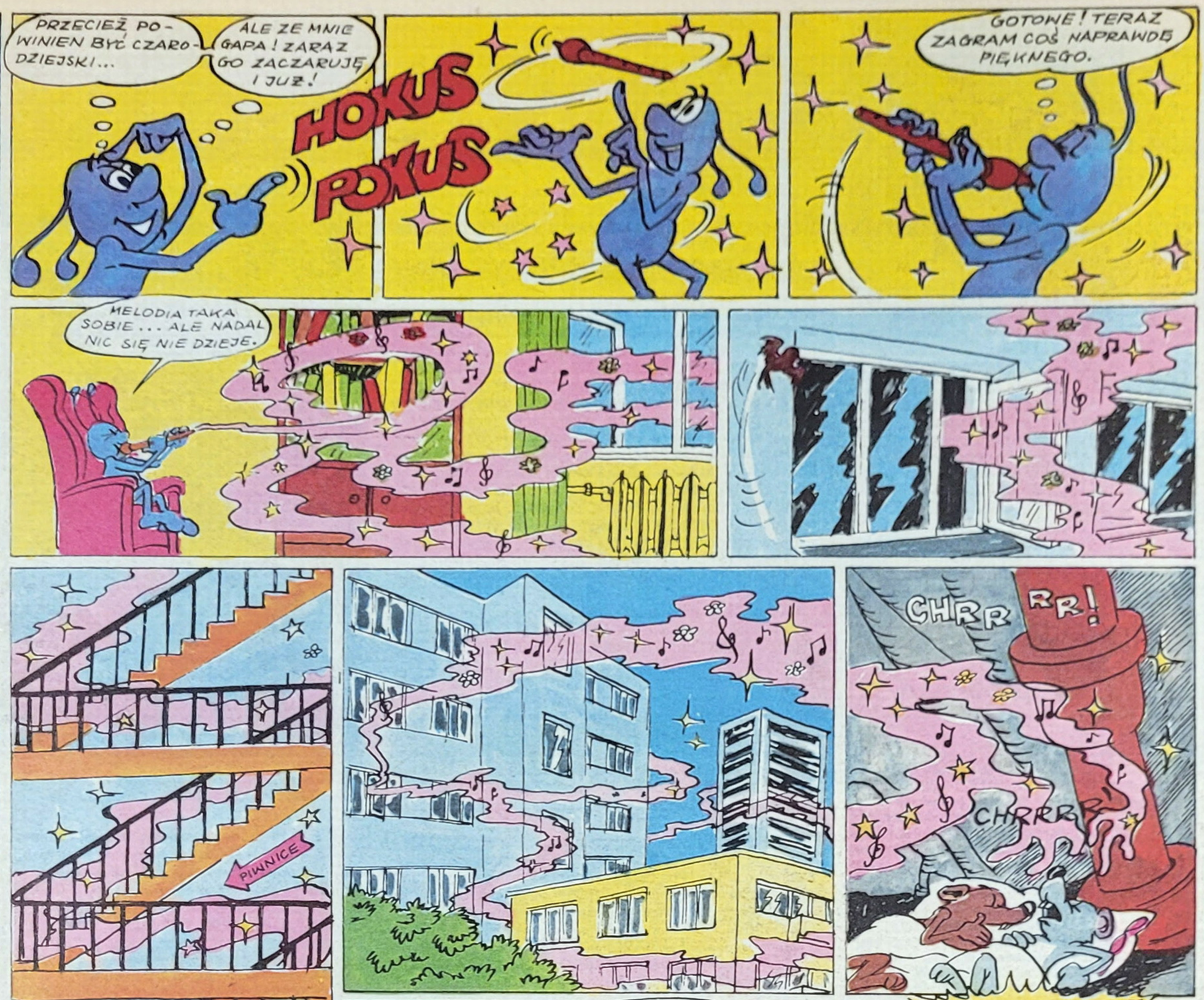

ŚWIAT SMŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kaminska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji i szkół w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmuje wyłącznie miejscowy urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-21 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 7660/G F-73

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-581 POCZTOWY

Mija jeszcze trochę czasu. Niebo wyraźnie jaśnieje. I śnieg jest rzadszy. Zdaje się, że przestaje padać...

Niebawem przyjdzie Pola Gelman, nawigator. Polecimy z nią szukać naszych dziewcząt.

Już z dala widzę jej śmieszną, małą postać. Spieszy się drobiąc nogami, kołysząc się z boku na bok. W futrzanym kombinezonie i włochatych butach sunie jak kłębek. Z boku, gdzieś poniżej kolan, pałęta się mapnik. Przeszkadza jej w chodzeniu, przesuwa się do przodu i Pola ustawicznie go poprawia. Pola zawsze się spieszy i zawsze się spóźnia. Do tego już przywykłyśmy. Ale dziś się nie spóźniła.

Zasapana, jeszcze w biegu, pyta:

– Lecimy? A gdzie mechanik?

– Zaraz przyjdzie. Jest przy sąsiednim samolocie. – Spoglądamy na mapę. Obliczamy z grubsza, gdzie mogły siąść samoloty.

Prawdopodobnie na wschód od Wisły. Żaden pilot nie obierze zachodniego kursu, kiedy nie widać ziemi i kiedy nie wie, gdzie się znajduje.

Nareszcie śnieg ustał, wylatujemy na poszukiwania. Uważnie przepatrujemy ziemię w domniemanym rejonie lądowania. Wszędzie bielusieńko, a samolotów nie widać. Mija godzina, dwie i więcej – szukamy póty, póki nie zaczyna wyczerpywać się paliwo. Dopiero wtedy wracamy. Inne dwa samoloty, które wyleciały na poszukiwania, również wróciły z niczym.

Okazało się, że w tym czasie, kiedy szukałyśmy zaginionych samolotów, one wróciły same. Wszystkie, prócz jednego.

19

OD ZACHODU DO WSCHODU SŁOŃCA

Natalia Krawcowa

tłum. Jadwiga Jaskólska

Ira przywitała nas tak, jakby wszystko odbyło się normalnie i nic strasznego nie mogło się w ogóle wydarzyć.

– Po co od razu wpadać w panikę, szukać? Zaczekałybyście trochę.

Łatwo powiedzieć – zaczekałybyście...

Później Ira opowiedziała nam, że o świcie, kiedy kończyło im się paliwo, próbowała wylądować. Widzialność była bardzo zła. Kilkakrotnie schodziła na oślep. Co prawda na niedużej wysokości widać było chwilami ciemne masywy lasów, jednak za każdym razem, gdy usiłowała zejść na dół, tuż nad ziemią przed samolotem wyrastała jakaś przeszkoda – słupy, drzewa, domostwa... Aż wreszcie za piątym razem udało się jej wylądować.

Trzy samoloty wróciły. A czwarty uległ awarii. Mocno ucierpiała Kława Sieriebriakowa. Kława-dżan miała kilka skomplikowanych złamań nóg. Tosia Pawłowa, jej nawigator, wyszła z tego względnie szczęśliwie: złamała tylko rękę.

PRZYSZŁO ZWYCIĘSTWO!

Brunn – czyściutkie, ciche miasteczko niemieckie na północ od Berlina. Mieszkamy niedaleko miasta, w majątku ziemskim. Dwupiętrowy dom jest pełen antycznych mebli, lecz wszystko poprzestawiane tu bezładnie, poprzewracane. Dwa fortepiany. Cały strych, po samą górę, zawalony nutami, Beethoven, Weber, Mozart...

Dom tonie w zieleni. Kwitną lipy, bez. W dużym parku znajduje się bardzo piękne jezioro. Powiadają, że właściciel z rodziną utopili się w tym jeziorze. Nie zdążyli wyjechać.

W ostatnim tygodniu nasz Drugi Front Białoruski posunął się o setki kilometrów. Nacierał tak gwałtownie, że jeszcze parę dni temu baronowi ucieczka nawet na myśl nie przychodziła. Pewnie ufał, że Odra stanie się niezawodną zaporą dla radzieckich wojsk...

Nasze lotnisko – to zielone pole na obrzeżu miasteczka... Ale latamy z innego, pomocniczego, położonego obok frontu.

Zbliża się koniec wojny, nieprzyjaciel wszędzie kapituluje. Latać prawie nie ma gdzie. Broni się jedynie zgrupowanie w okolicy Świnoujścia, skąd niemieckie wojska uciekają na statkach przez Morze Bałtyckie. Bombardujemy port.

Noce są ciemne, mgliste. Wilgotność duża, morze tuż, tuż.

Dokończenie na str. 7